№ 32. Piątek, dnia 7 Maja 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA dnia 25 Kwietnia (7 Maja) 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
„ „ kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

NA CMENTARZU.

WSPOMNIENIU ZMARŁEJ CÓRECZKI SWOJEJ

POŚWIĘCA

Bogumił Aspis.

(Dokończenie)

X.

Życie!... Śmierć!...
Póki małą byłabyś dzie-
[weczką,
Płynęłyby ci jeszcze jako tako latka...
Wicher stroniłby może od cichego kwiatka
Co z śród traw ledwie główkę wychyla
[w słoneczko...
Ale, przyszłaby chwila... gdy na twoje lica
Wystąpiłyby nagle szerszym liściem róże—
Żywszy blask by rozpalił twoje oczy duże—
Z dzieweczki by dorodna wyrosła dziewica!
Wtedy... patrząc się w świat ten rozkocha-
[ną duszą,
Zapragnęłabyś może roskoszy, miłości,—
I przyszedłby do ciebie ktoś z tych mędr-
[ców w gości,
Z których dłoni cne róże śmierć ponosić
[muszą...
Tenby w gaju gdzie wskazał śliczną ci al-
[tanę...
(Nad nią tam po lazurach szedłby księżyc
[blady!)
Wwiódłby cię w nią, i słowem pełnem słod-
[kiej zdrady
Wszedł w twe serce, niewinnym zapałem
[wezbrane...
I jabym dożyć musiał... jak pod jego ręką,
Moja droga różyczka... Boże!... nagle blada,
Zwija listki swe smutnie — przechyla się—
[pada...
Narzeka, że to życie jest już dla niej... męką!

To znów możeby przyszedł... ktoś... co
[w imię Boga
Przed ołtarz by cię powiódł—wziął cię
[młodą żoną
W stary dom... byś mu była tam lalką
[pieszczoną
Do uciechy, i... cackiem! moja córko droga!
I w duszyby twej może bunt podniósł się
[na to—
Że padłabyś na ziemię... ty, moja królewno!
Zanosząc się po cichu skargą, jak łzy rze-
[wną,
I szepcząc ku mnie: „Ratuj, o ratuj mnie,
[tato!
A jabym, stojąc wtedy przy tobie, ma córo,
I słysząc ten płacz cały, — nie mógł może
[niczem
Niczem pomódz ci... Smutnem patrzałbym
[obliczem
Na twój ból... i pod nową umierał torturą!..
. . . .
Nie więc—nie—drogie dziecię!... Bóg tej
[strasznej doli
Nie ciał zesłać już z nieba biednej duszych,
[mojej,
Co i tak stare rany po przeszłości goi
A nieszczęść się też wszelkich użyła dowoli!
Bóg nie chciał!...
Na twym grobku teraz
[zieleń rośnie...
Wszak to drzewko ci żadnej nie przyczynia
[rany?
Nie robi ci też szkody ten krzyżyk, przy-
[brany
W skromne kwiatki... com świeżej zaraz
[odkradł wiośnie!...

Śpij—śpij zatem, ma dzieweczko!
Śliczne oczki mruż...
Jutro wejdzie znów słoneczko
Ponad gaje z róż...
Nad ogrody—pola—łany—
I nad grobek twój kochany...
Ale ciebie już nie zbudzi—nie oświeci już!

* * *

Luli! luli, me kochanie!
Chyl do ziemi skroń...
Jutro — może wicher wstanie!
Zły deszcz... mgła i woń
Pójdą śmiercią przez ugory,
Ludne miasta—puszcze—bory—
Tylko tobie nic nie zrobi... nawet śmierci
[dłoń!

* * *

Luli! luli, moja droga!
Nie przerywaj snu...
Ciernie dalej z woli Boga,
Będą kwitnąć tu —
Świat psuć będzie pycha stara —
Kłócić zawiść—trwożyć kara...
Ty masz spokój pod tą darnią z zielonego
[mchu!

* * *

Luli! luli, moje dziecię!
Jak śpisz—śpij już tak...
Choć się głóg przystroi w kwiecie,
W pączki—róży krzak...
Liść, kwiat... jutro śnieg przypruszy—
Złamie burza—piorun skruszy—
Lecz sam piorun się nie wedrze pod ten...
[Męki znak!

* * *

Tym też znakiem żegnam ciebie,
Już odchodząc... Śpij!...
Słyszę jakiś głos po niebie...
Jakiż głos to? — czyj?...
Gwiazdyż to, o róż kielichy,
Wydzwaniają szept swój cichy?...
Śpij gołąbko—śpij kochanie—śpij mój skar-
[bie—śpij!...

KONIEC.

SŁÓWKO

o wyobrażeniach religijnych dawnych Słowian.

Z wrodzonych uczuć człowieka, z naturalnych i nieodzownych jego potrzeb, żaden naród nie może się obejść bez pewnych wyobrażeń religijnych. Jakość tych wyobrażeń i wypływające z nich dla rodzaju ludzkiego skutki zależą od stopnia oświaty, za pomocą której zbliżamy się do poznawania przepisów Najwyższej Istoty, i do obowiązków temiż przepisami nakazanych. Prawa te, nie są dziełem rozumu ludzkiego, są dziełem Najwyższej Istoty, Ona to nas naucza, lecz głosu jej rzadko

człowiek rad słucha. Dumny swojem pojęciem, zaledwie słaby promień światła dostrzeże, powodowany licznemi namiętnościami, tworzy i przepisuje dla siebie i dla drugich prawa; gardzi odwieczną prawdą i sam jej twórcą się mieni.

Grecy i Rzymianie nie znali jednego prawdziwego Boga, błąkaii się w wyobrażeniach swoich po manowcach, a nie dostrzegając prostej drogi, istotnego światła, tworzyli tyle bogów, ile cnót i występków być może.

W czasie powszechnego poganizmu, również i Słowianie nie znali prawdziwego Boga. Prawda była przed nimi ukryta. Uczucia i nieodzowne potrzeby, kazały im tworzyć różne bóstwa, tworzyli je więc, stosownie do swego pojęcia, do swoich potrzeb wynikających z sił obyczajów i przymiotów.

Słowianie w VI wieku, według Prokopa, oddawali cześć twórcy piorunów, błyskawicy i całego świata. Wszystkie pokolenia słowiańskie czciły tego samego boga pod nazwiskiem *Peruna* albo *Perkuna*, uważali go za władzcę nieba i ziemi, za boga wojny i pokoju. Posąg jego wyrobiony był z twardego drzewa, głowę miał srebrną, nogi żelazne, ozdobiony był drogiemi kamieniami, a w ręku trzymał kamień, wyrobiony na kształt błyskawicy. Poświęcano mu lasy i gaje, palono przed nim wieczny ogień, niekiedy także czyniono mu krwawe ofiary. Błagający go o pomoc i oddający się jego opiece, strzygli sobie włosy i składali u nóg jego.

Dwa bóstwa, jedno pod nazwiskiem *Biały-bóg*, drugi zaś *Czerny-bóg* są według historyków najdawniejszemi w mytologii słowiańskiej. Pierwsze, to jest *Biały-bóg* wyobrażało bóstwo dobroczynne, któremu oddawano cześć przez gry i zabawy. Drugi zaś, to jest *Czerny-bóg* wyobrażało bóstwo złośliwe, czyniono mu powszechnie krwawe ofiary i błagano głosem smutnym i płaczliwym.

Również do najdawniejszych bóstw należy *Światowid*. Szczególniej na wyspie *Rugen* czczonem było to bóstwo, któremu w mieście *Arkonie* wystawiona była świątynia i któremu nietylko różne pokolenia słowiańskie cześć oddawały, ale nawet i królowie duńscy, już po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, przysyłali dary Bóstwo to uważanem było za boga słońca i wojny. Posąg jego olbrzymiej wysokości wyrobionym był z drzewa twardego, o czterech głowach, co jak mniemają niektórzy, cztery pory roku, lub cztery punkty kardynalne oznaczać miały, ubrany był w kosztowne szaty, trzymał w lewej ręce łuk, a w prawej róg metalowy, napełniony winem. Przy boku posągu zawieszony był mundsztuk, siodło i miecz ze srebrną rękojeścią i w srebrnej pochwie. Poświęcony mu także był koń biały lub czarny na którym nikomu oprócz kapłana jeździć nie było wolno. Do świątyni tego bożyszcza, uczęszczało mnóstwo obojga płci ludu, który przynosił mu modły i ofiary.

Wiadomo, że Słowianie od dawnego czasu uważali gościnność za najpierwszą cnotę i obowiązek. Przymiot ten, szczególniej plemionom słowiańskim właściwy, był powodem wyobrażenia i stworzenia bóstwa *Radegast* zwanego. Główny jego posąg znajdował się w mieście *Retra*; wyobrażał on bardziej złośliwego niż dobroczynnego boga. Był nagi, lub przybrany w szaty, miał lwią głowę na której gęś spoczywała, na piersiach miał także wyobrażoną bawolą głowę, a w ręku trzymał wielką siekierę. Napisy na tym posągu pomieszczone okazują, że lubo *Radegast* należał do bóstw dobroczynnych w niektórych jednak przypadkach mógł szkodzić ludziom.

U niektórych Słowian, szczególniej mieszkańców *Wagrii* (w teraźniejszym księztwie Holsztyńskiem), czczono także boga sprawiedliwości pod nazwiskiem *Prowe*. Posąg jego wyobrażał starca w odzieniu mającem wiele fałdów, na piersiach miał zawieszony łańcuch, a w ręku trzymał nóż. Świątynią jego były najstarsze dęby, drewnianym płotem z dwoma bramami ogrodzone. Tam, mieszkał wielki kapłan, i odprawiał uroczyste ofiary; tam rozsądzano sprawy narodu, tam zagrożeni śmiercią znajdowali dla siebie schronienie i bezpieczeństwo.

Dawni Słowianie, właściciele krajów teraz przez Niemców zamieszkałych, początkowo nie mieli kościołów, lecz czynili ofiary na kamieniach, co znaczyło miejsce świętej zagrody. Kapłani dla wyobrażenia wielkości Boga, wystawiali ołtarze z kamieni mających kilka sążni wysokości, takowe kamienne gmachy, równały się wysokim skałom, i bez uszkodzenia przez cały wiek trwać mogły; zdawały się one dla ludu być dziełem rąk boskich. Później, po utworzeniu większej liczby bogów, zaczęto stawiać świątynie, wspaniałe, ozdobne i bogate, które *Gontynami* czyli *kontynami* zwano.

Drewniana świątynia w *Arkonie*, była nader pięknie wystawiona, ozdobiona rzeźbą i malowidłami, ogrodzona parkanem o jednej bramie który to parkan nakryty był dachem; sama świątynia pod podobnym-że dachem znajdująca się, była oddzieloną od ścian parkanu, kobiercem purpurowym, rozwieszonym na czterech słupach. Wewnątrz świątyni stał posąg *Światowida*, zaś koń jemu poświęcony stał w osobnem zabudowaniu, gdzie także złożone były wszystkie kosztowne sprzęty kościelne.

Świątynia w *Retra* była również drewnianą i sławną wyobrażeniem bóstw wyrytych na jej ścianach. Wewnątrz stały posągi w szyszakach i zbrojach. Ciemny las okrążał tę świątynię, a przez wyciętą ulicę dawało się spostrzegać morze, co tworzyło widok groźny i wspaniały.

Widzimy więc, że liczne pokolenia słowiańskie, w znacznej od siebie odległości osiadłe, w wyobrażeniach religijnych i tworzeniu bóstw różniły się między sobą, jednak w ogóle wyznawali jedno tylko najwyższe bóstwo, wierzyli przytem w nieśmiertelność duszy i uznawali karę i nagrodę w przyszłem życiu. To wszystko znamionuje wyższy ich światła i rozumu postęp.

Wyobrażenia te, będąc dziełem ludzkiem nie mogły być doskonałe. Była to licha budowa, dająca obłąkanemu i znużonemu w podróży życia, niejaki przytułek i schronienie; niebyło jednak w niej jednego Pana, któryby mógł powiedzieć: „Ja jestem wszystkiem. Mądrość Moja niepojęta. Słuchajcie głosu Mojego. Ja jestem źródłem miłości czystej, umiejętności i bojaźni; Ja daję łaskę światła i prawdy, Ja z sobą przynoszę nadzieję wiecznego życia i cnoty.“

B. Poh...

PRZEGLĄD LITERACKI.

W ogóle jednak utwór pana Zacharyasiewicza nie jest powieścią tendencyjną a tem mniej powieścią intrygi ale raczej powieścią charakterów. Autor zrzeka się efektu, jaki powieściopisarzowi daje większy ruch osób i wypadków a woli nieco powolne, ale pełne prawdy odtwarzanie sytuacyi psychicznych.

Powiedzieliśmy, że utwór pana Zacharyasiewicza jest pełnym moralnej dążności, dodajemy nadto, że jest powieścią salonową. Często się zdarza, że powieści najbardziej moralne pod względem założenia, obfitują w sytuacye drażliwe, mogące zdemoralizować niejednego z młodych czytelników a bardziej jeszcze zarumienić dobrze wychowane czytelniczki. Utworowi niniejszemu nawet osoby rozróżniające w literaturze dwa tylko działy t. j. *bon genre* i *mauvais genre* w pierwszym dziale niepoślednie przeznaczą miejsce. W „Przeglądzie krytycznym“ krakowskim z 31 grudnia

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Od kilku dni mamy tedy wiosnę! wiosnę prawdziwą, od tak dawna oczekiwaną! wiosnę, której nie brak ani ciepła, słońca, ani pogody—której tylko brak jeszcze zieloności. Łąki i drzewa nie zdołały dotąd przywdziać na siebie szmaragdowej szaty, w jaką zwykle stroją się na przyjęcie pierwszego kwiecia. Fijołki smutnie wychylają swoje główki do słońca jak gdyby dziwiąc się, że nie widzą w około siebie owego morza zieloności, wśród jakiego zazwyczaj toną niespostrzeżone oczyma niewprawnego przechodnia. Ale tego wszystkiego Warszawianie dostrzedz nie są wmożności, bo oni widzą tylko fijołki w pęczkach na talerzach u sprzedających je kwiaciarek, a o nadejściu wiosny przekonywają się raczej widząc na ulicach rojące się gromady dzieci, spragnionych ciepłych słońca promieni, aniżeli patrząc na pokrywające się zielenią łąk kobierce, słuchając ligawek pastuszków odzywających się w dali, lub klekotu powracającego do gniazda bociana. Są to przyjemności dozwolone tylko wsi mieszkańcom.... jakże im ich nie zazdrościć!

Kwestya konkursu dramatycznego obecnie w Warszawie tworzącego się jest jedną z tych, które nic na dyskusyi stracić nie mogą, dlatego, jakkolwiek parę razy pisaliśmy już w tej sprawie dziś pomieszczamy chętnie list otrzymany od jednego z naszych prenumeratorów. Brzmi on jak następuje:

,,Panie Redaktorze!

Fundusz jaki posiada Kuryer Codzienny na konkurs dramatyczny, zwiększony znowu został summą stu rubli, co razem z poprzednim wynosi rubli czterysta trzydzieści.

Posiadamy już w murach naszych jeden konkurs dramatyczny i utworzoną dla niego *ad hoc* komisyą—czy więc drugi konkurs ma prawo bytu, wypowiedzieć ani przeczący, ani twierdząco nie śmiemy. Jednakże ośmielamy się zrobić maleńką uwagę, której co prawda nie narzucamy nikomu—uwaga mianowicie na tem polega: czy koniecznie do polepszenia naszego dobrobytu moralnego, potrzebnemi nam są aż dwa konkursy dramatyczne? Nie posiadamy tylu komedyopisarzy, którzyby na obydwa konkursy mogli odpowiednią ilość sztuk dostarczyć. Przypuszczamy tylko, że każdy z nich napisze po jednej sztuce i pośle ją na konkurs, który jeżeli będzie jeden, nie nabawi żadnego kłopotu autora, ale jeżeli będzie ich dwa, zajdzie trudność wyboru, na który konkurs przesłać utwór—a wybór mogą utrudniać przywileje jakie sztuka uwieńczona na istniejącym już konkursie posiadać będzie i wielkość wynagrodzenia. A może przeważać będzie zaufanie, jakie autor pokładać będzie w składzie jednej lub drugiej komisyi — na utworzenie której znajdzie się dość inteligentnych sił w naszym grodzie — gdyż do składu pierwszego komitetu oględnie zostały one użyte. Ale jeszcze nie mamy drugiego konkursu. Może też redakcya Kuryera Codz. odstąpi od zamiaru urządzenia konkursu dramatycznego, a będący w jej rękach kapitał obróci, za zgo-

r. z. czytaliśmy także kilka pochlebnych wzmianek o „Szczęściu kobiecem,“ obok tych jednak zrobiono tam autorowi wiele zarzutów, na które nie godzimy się w zupełności i nie chcąc niemi trudzić zbytecznie uwagi czytelnika, przytaczać ich tutaj nie będziemy. Wspomniemy tylko o dwóch, mianowicie, że jakiś Mirski tajemniczy działacz przygotowującego się ruchu ginie, ale za sceną, o czem przy końcu dopiero dowiadujemy się z pobieżnej wzmianki i w ogóle, że wszystkie owe tajemnicze prognostyki w początku zaraz utworu zapowiadające nam wielkie wypadki, robią istotny zawód ciekawości czytelnika. Właściwie bowiem wprowadzone do powieści wypadki r. 1846 z całością jej nie wiążą się organicznie. Podobnież ów „Czerwony Dyabeł,“ co do którego kilka tajemniczych wzmianek pozwalają czytelnikowi spodziewać się jakiegoś interesującego wyjaśnienia, ginie, jak mówi autor recenzyi w Przeglądzie Krytycznym, bez wieści i bez znaczenia. W ogóle jednak wspomnione pismo nie dosyć ocenia dodatnie strony utworu, któremu my nierównie większą przyznajemy wartość.

Jeżeli jednak pod względem treści powieść w mowie będąca zadawala wymagania krytyki pod względem czystości i poprawności języka wiele zostawia do życzenia. Przekroczeń przeciwko wspomnianym przymiotom mowy w „Szczęściu kobiecem“ spotykamy tak wiele, że jesteśmy w kłopocie od czego zacząć, chcąc wyliczyć choćby tylko ważniejsze. Zacznijmy od przypadkowania. Autor pisze *potoka* zamiast *potoku*; dalej spotykamy formy: *cygarów*, *szpicrutów* zamiast *cygar*, *szpicrut*, oraz *tygodni* zamiast *tygodnie* w 1-m przyp. l. m.

Z błędów składniowych spotykamy przypadek drugi zamiast czwartego np. *Trudno bowiem w takim razie rozróżnić prawdziwych rozumowań od sofizmatów* (str. 114). W innych znów miejscach autor stawia z cudzoziemska 4-y zamiast 2 przypadku np. *u was nie ma różnic rodowych, dlatego nie możecie ocenić nas i nasze stanowisko.* Oprócz powyższych spotykamy wiele innych zwrotów składni polskiej najzupełniej obcych np. *kokietować z kim* zamiast *kogo* (str. 170), *wygrzewać się do słońca* zamiast *na słońcu* (str. 187),—*co pan mówisz do wieści z kraju* zamiast *o wieściach z kraju* (str. 224)—*a nawet kilka razy spojrzała do swego zwierciadła* zamiast *spojrzała w swoje zwierciadło* (str. 250).

Również nie miło brzmią dla polskich uszu wyrażenia: że *kogoś trafia odpowiedzialność* zamiast *odpowiedzialność spotyka* (str. 130) albo że *kotek stanął u niej na służbę* zamiast *poszedł do służby*, albo *do służby się zgodził* (str. 197). *Adalbert!—rzekła do niego* (Adelaida do męża) *pieściwie—wróćmy do kraju!* zamiast *Adalbercie!—rzekła do niego pieszczotliwie* i t. d. Czytamy także *upiekłam się* zamiast *sparzyłam* (str. 122), i t. p.

Oprócz powyższych spotykamy bez liczby wyrazy cudzoziemskie np. *promenady*, *parkety*, *sukcesy*. Pomijamy drobniejsze usterki językowe do jakich należy używanie w odmianie słów form: *umią* zamiast *umieją*,—*zrozumią* zamiast *zrozumieją*,—*strząść* zam. *strząsnąć*, —*wstrząsła* zam. *wstrząsnęła*,—*wybuchła* zam. *wybuchnęła*,—*zwoje laokońskich wężów zacisły się* zam. *zacisnęły się*.

Obok tych zboczeń od czystości języka zarzucić musimy autorowi wielkie zaniedbanie stylu. Do ważniejszych tego rodzaju grzechów zaliczamy przestawianie zaimka względnego *który*. Ilekroć bowiem zaimek ten wprowadzą zdanie poboczne, rzeczownik zdania poprzedniego, do którego zaimek się odnosi u poprawnych pisarzy staje zwykle na końcu tego poprzedniego zdania, tuż obok następującego zaimka *który*. Autor nasz przeciwnie zostawia w mowie będący zaimek, w środku zdania poprzedniego: np. „związek krwi był teraz na nowo zacieśniony między nimi, który dawniej wychowanie Olgi znacznie rozluzowało,“ albo „a gdy Olgę kilka razy ujrzano, która w tem zaniedbanem ustroniu istnem zjawiskiem była...“ Bardziej jeszcze mamy do zarzucenia autorowi powtarzanie tego samego wyrazu dwa a nawet i więcej razy w jednym peryodzie a nawet i zdaniu; tak np. czytamy, że ktoś się blisko przybliżył (str. 274). Na str. 172-ej w jednym peryodzie spotykamy zaledwo że przedzielone pomiędzy sobą wyrazy: *uszlachetnienia* tuż dalej *uszlachetnia*, *szlachetność*, *szlachetniejszą*. Na str. 245 podobnież w jednym peryodzie zaledwo trzy wierszowym spotykamy cztery formy zaimka wskazującego *ten*, mianowicie: *to*, *ta*, *tem*, *tej*.

Wskazaliśmy usterki, które nam pierwsze wpadły w oczy, obok tych znalazłoby się nie zawodnie wiele ważniejszych w tym rodzaju, jak np. na str. 177 w czterowierszowym peryodzie spotykamy cztery razy tę samą formę koniugacyi rymującą naturalnie w sposób dla ucha nieznośny: *przekraczała*, *rozmawiała*, *okazywała*, *objawiała*. Jeszcze częściej autor grzeszy brakiem okrągłości peryodów, a to zwykle w skutek kończenia ich wyrazami jednozgłoskowemi np. „tak niepodobni do siebie byli oboje (Olga z ojcem). Wychowanie zrobiło to.“ W ogóle czytając utwór pana Zacharyasiewicza niejednokrotnie nasuwa nam się uwaga, że tak piękna rzecz warta była ram ozdobniejszych.

Niezawsze bowiem godzić się też możemy na właściwość używanych przez autora określeń, porównań, wyrazów, a nawet całych wyrażeń. Czytamy bowiem między innemi, że ktoś będzie w obec własnego sumienia tak czystym *jak wielkanocny baranek z masła*, czy nie bielszy byłby z gipsu? Edmund w rozmowie z kuzynką powiada, że nie dziwią go jej pojęcia, *odkąd najsmaczniejsze konfitury zaczęto smażyć na occie.* Również niezbyt wdzięcznie brzmią wyrażenia: *oczy cebulaste*; *miłość Adelaidy była dla Edmunda wygodnym plastrem*, czemuż nie balsamem? Z przesadą spotykamy się także i to nieraz: skórę na twarzy starego ekonoma porównywa autor do *szczotki*, a buty jego *do miejskich sanek*, w których dwie osoby wygodnie siedzieć mogą; rozmowy pana Wojciecha człowieka najlepiej wychowanego i pełnego galanteryi względem Adelaidy z hrabią Albertem i jego córką—do sejmików Rzeczypospolitej. Zawstydzonym dziewicom rumienią się nietylko twarze ale *nawet ramiona*. Często spotykone wzmianki o tych *ramionach* każą się domyślać, że bohaterki pana Zacharyasiewicza zawsze ubrane są *do gorsu*.

Znajdujemy też w utworze wzmiankę o pannie Prozerpinie mającej aż *czterdzieści krzyżyków*, ale to już chyba pomyłka drukarza.

Streszczając uwagi objęte niniejszą pogadanką wypada nam powiedzieć, że powieść pod tytułem „Szczęście kobiece“ pomimo licznych usterek językowych nie należy bynajmniej do tych powieściowych utworków chwilowej zaledwo wartości; stoi ona raczej obok lepszych powieści Kraszewskiego, Korzeniowskiego i innych znakomitszych naszych pisarzy, których prace posiadają pod pewnym względem wartość niespożytą, jako obrazy charakterów oraz wielu stałych objawów towarzyskiego życia. W rozbieranym obecnie utworze zaznaczył autor ze sfery charaktetów kobiecych: że tak je nazwiemy—umyślne wprowadzanie siebie w błąd co do rzeczywistych pobudek własnego działania, o którem na właściwem miejscu obszerniej mówiliśmy,—niewinną do pewnego stopnia kokieteryą, nie mówiąc bynajmniej o kokieteryi w złem słowa znaczeniu,—oraz optymizm, tak właściwy naturze kobiecej. W jednym więcej wykończonym charakterze męskim spotykamy lekkomyślność, niestałość uczuć, przekonań a co najgorsza niewolnictwo materyalnego interesu. Wszystkie te ujemne właściwości charakteru

---

dą ofiarodawców rozumie się, na utworzenie konkursu pedagogicznego, który doprawdy więcej przyniósłby nam pożytku niż drugi konkurs dramatyczny. Nie żyjemy li tylko dla komedyi—są przecież ważniejsze nad nią cele, które jakoś zaniedbujemy dla teatru — i jakkolwiek drugi konkurs dramatyczny obudziłby jeszcze większy ruch między piszącymi—to jednak wartoby zwrócić uwagę na rzeczy pilniejsze i więcej mogące przynieść korzyści, niż te, jakie drugi konkurs dramatyczny nastręcza.“

W Niedzielę, dnia 2 maja r. b., Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych obchodził stuletnią pamiątkę urodzin księdza Jakóba Falkowskiego, swego założyciela, przypadającą w dniu 29 kwietnia b. r.

O godzinie 10 rano w kaplicy Instytutowej, zebrali się wszyscy wychowańcy tegoż Instytutu wraz z swoimi przewodnikami i szczupłe grono osób złożone z protektorów zakładu, rodzin wychowujących się tam uczniów i przedstawicieli prasy. Uroczystość rozpoczęła się kazaniem, które wypowiedział ustnie i migami J. Ks. Jagodziński, wice-dyrektor zakładu, mówiąc głównie o zasługach księdza Falkowskiego. Następnie J. Ks. Adam Jakubowski, Kanonik Katedralny, odprawił Mszę św., podczas której na chórze ociemniali pod kierunkiem p. Statlera, wykonali pienia religijne. Po skończonej Mszy, Dyrektor Zakładu, Rzeczywisty Radca Stanu Jan Papłoński, w mowie pełnej uczucia, wypowiedział życiorys i właściwości księdza Falkowskiego.

Druga część uroczystości, to jest poświęcenie pomnika, odbyło się w ogrodzie instytutowym.

Na postumencie otoczonym żelazną kratką, umieszczonem jest popiersie Falkowskiego, wykonane przez głuchoniemych rzeźbiarzy, pp. Skwarego i Wasilewskiego, uczniów pana Cenglera, popiersie to wysłane w roku 1870 do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, wyjednało Instytutowi modal złoty. Na przedniej ścianie postumentu pomieszczono następujący napis: *Księdzu Jakóbowi Falkowskiemu, założycielowi Instytutu Głuchoniemych, Ur. 29 kwietnia 1875 r. Zm. 2 września 1848 r., wdzięczni głuchoniemi, 1875.* Poświęcenia dopełnił J. Ks. Jakóbowski.

Przemawiał jeszcze p. Nowicki, nauczyciel zakładu, a na zakończenie ociemniali odegrali i odśpiewali kantatę skomponowaną na ten cel przez p. Romualda Skorupskiego, Dyrektora orkiestry ociemniałych, wychowańca tegoż instytutu.

Nareszcie zapowiadane oddawna wznowienie „Pocztyliona z Loujumeau“, przyszło do skutku, dozwoliwszy publiczności odetchnąć swobodnie, pod przyjemnem wrażeniem, zacierającem wspomnienie *znakomitych* oper Offenbacha. Doprawdy że trudno pojąć dla czego reżyserya opery nie zadawala się trzema aktami Pericholi, i wyszukuje jeszcze do niej dwa nowe, nad wystawieniem których straci dosyć czasu, który przecież wart by go więcej szanowano. Mamy „Pocztyliona z Lonjumeau, mieliśmy kiedyś „Bałą damę“, możeby poszukano jej na półkach biblioteki teatralnej, toć i to komiczna opera, tylko w szlachetniejszym stylu niż denerwująca córka pani Angot. Publiczność chętnie przyjdzie posłu-

mężczyzn—niestety!—wzięte są żywcem z natury. Takich Edmundów wielu mamy w naszem społeczeństwie.

Obok zaznaczonych powyżej wykroczeń przeciwko czystości języka, obok niektórych mniej właściwych omówień lub porównań, spotykamy w utworze wiele a wiele ustępów nakreślonych z prawdziwie artystycznym wdziękiem, jak np. obrazek strąconej z wyżyny marzeń swoich Olgi siedzącej z głową opartą na ręku w ciemnym jarze przy zdroju, pomykającym w dolinę.

Większą, jak wszystkie te artystyczne ozdoby nadaje utworowi wartość wielka konsekwencya zasad moralnych i społecznych, rzadko dzisiaj dająca się widzieć w powieściowych utworkach modnego kroju. Słowem, utwór pana Zacharyasiewicza uważamy za nabytek dla literatury bardzo cenny, a zamykając okładkę jego książki, mówimy z całego serca: daj nam Boże takie powieści i takich powieściopisarzy!

Drugi utwór tego samego autora, który chcielibyśmy objąć niniejszą pogadanką nosi tytuł „*Pomyłka serca.*“ Czytaliśmy go w kilku numerach czasopisma *Kłosy*. Interesująca jest treść utworu. Stary major oficer napoleoński objeżdża powiaty, karmiąc młodsze pokolenie powieścią o smutnych, ale prawdziwie bohaterskich czasach wojen pierwszego cesarstwa. Obywatele galicyjscy wyrywają sobie literalnie starego wojaka i w wielkiem mają poszanowaniu. Na jednym z popasów owej nieustającej wędrówki spotyka majora dziwna przygoda. Piękny jakiś młodzieniec, równie jak on podróżny, wręcza majorowi pachnący bilecik, widocznie kobiecą nakreślony ręką. Korespondencya ta podpisaną była imieniem „Róża“ i zawierała zaproszenie majora do N... obok wzmianki, że przybycie jego ziści serdeczne nadzieje piszącej. Major spieszy na zaproszenie, pewien, że jeśli nie reszta żołnierskiej urody, to opromieniający osobistość jego urok rycerstwa zyskał mu serce kobiece. Jakże się zdziwił, gdy na progu domu, gdzie miał gościć po raz pierwszy, spotkało go 17-letnie dziewczę... Skoro znalazł czas obrachować się z myślami uczuł niestosowność podobnego związku, ale serce, to wiekuiste źródło złudzeń, zagłuszyło rozsądek—panienka była śliczna. Na osobności nie mógł z nią długo pozostać, babka lub ojciec zwykle przerywali rozmowę. Tak upłynęło podobno parę tygodni zbliżała się jakaś uroczystość domowa, w dworku oczekiwano licznego zjazdu sąsiedztwa. Major tymczasem walczył z sobą, pomimo to błądząc po ogrodzie przy blasku księżyca zbliżył się i to nie po raz pierwszy pod znane okienko. W pokoju panienki usłyszał głos ojca zapowiadającego najwyraźniej, że córki nie odda człowiekowi bez mienia i dachu, polującemu więcej na wioskę niż na nią.... Panienka zalewała się łzami. Major uczuł w sercu nie przejednany żal do obłudnika, który gościł go rad na pozór, a rzeczywiście lekceważył i posądzał o brudne wyrachowanie. Stary wojak postanowił zemścić się mimo wszelkich względów zaślubiając piękną Różę; w tym celu postanowił wkrótce, w obec oczekiwanego w dworku całego sąsiedztwa objawić pretensye swoje do ręki kochającej go dziewicy, pewien poparcia wszystkich obecnych i niechybnego zwycięztwa. Zaznaczyć wypada, że major, o czem niezwykł był mówić, posiadał prawem dziedzicznej własności wioseczkę z ładnym dworkiem na samym brzegu Wisły. Nazajutrz tedy wsunął pannie w rączkę pismo, gdzie jej oznajmiał, że człowiek którego ukochała, nie jest zupełnie pozbawionym mienia, że ma wioskę dziedziczną Olszyńskich, która będzie majątkiem jej i jej męża.

Nazajutrz wpośród licznie zgromadzonych gości major, natchniony wspomnieniami wielkich dni swego życia, opowiadał o bitwie pod Lipskiem. Epilog opowiadania stanowiła utarczka z kawaleryą nieprzyjacielską, w której opowiadającego od niechybnej śmierci wybawił towarzysz broni kapitan Godziemba i poświęcenie swoje na miejscu życiem przepłacił. Wrażenie opowiadania było wielkie, chwila obecna podług majora najwłaściwszą była do podniesienia własnej sprawy. Zanim jednak ucichł szmer uwielbienia dla heroicznego kapitana Godziemby, poważny jeden obywatel zabrał głos, przedstawiając zgromadzonym syna owego bohatera męstwa i przyjaźni w pięknym młodzieńcu, którego zarazem oświadczał do ręki Imci panny Róży. Osłupiały major przypomniał sobie, że ten sam młody człowiek wręczył mu na popasie pachnący liścik... Ojciec panny przyjął oświadczenego, ponieważ ten, dzięki wspaniałomyślności majora wyrażonej w podsuniętem córce piśmie był już *possessionatem*, czego jak twierdził, każdy ojciec ma prawo wymagać od człowieka, któremu powierza los dziecka. Łatwo domyśleć się reszty. Major po przejściu pierwszego wstrząśnienia, jakiego doznał wobec tak nie spodziewanego zwrotu wypadków i wyjaśnienia pomyłki, jakiej stał się ofiarą, dziękował Bogu, że zrządzeniem swojem ocalił starego żołnierza od wstydu, który sam byłby sobie przez nierozwagę zgotował.

Sama treść powyższego opowiadania świadczy o wartości jego pomysłu i układu. Treść ta wynagradza czytelnikowi rozwlekłości i w wielu miejscach niepoprawność języka, obok uderzającego wszędzie zaniedbania stylu. Moglibyśmy tu powtórzyć wszystkie niemal ogólne zrzuty jakieśmy czynili autorowi przy rozbiorze „*Szczęścia kobiecego.*“ Wiele z ustępów „*Pomyłki serca*“ są tylko omówieniem innemi słowami rzeczy poprzednio już opowiedzianych obszernie, nadewszystko w opisie osobistości majora. Nie wiemy dlaczego pan Zacharyasiewicz używa rzeczownika *inwalida* zamiast *inwalid*. Na prowincyonalizmach i tutaj nie zbywa; major powiada do starego żołnierza Soba „staniesz u mnie na służbę,“ to samo wyrażenie obce poprawnej polszczyznie zaznaczyliśmy przy rozbiorze „*Szczęścia kobiecego.*“ Starego majora, który pomimo „Pomyłki serca“ jakiej się dopuścił, jest postacią dodatnią w utworze a do tego poważną, porównywa autor do Donkiszota a jego wiernego Soba do Sanszo-Panszy. Pomimo jednak tych i tym podobnych usterek języka lub smaku „*Pomyłka serca*“ jest utworem niepośledniej literackiej wartości. Treść zajmująca i sympatyczna panuje tu nad formą i wynagradza ją sowicie.

Szląskowski.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Taka to instytucya rządziła Wenecyą przez lat z górą 350 przyjąwszy datę założenia Rady Trzech wedle dokumentu p. Daru. Ciekawem jest jednak, że znajdują się autorowie, którzy poniekąd usprawiedliwiają Radę Trzech i Radę Dziesięciu a nawet nie wahają się oddawać im pewnej zasługi dziejowej za stan kwitnący Rzeczypospolitej. Do takich należy p. Yart w świeżo, bo w zeszłym roku, wydanem dziełku p. t. „Le patricien de Venise“ w którem jednak wiele szczegółów znakomitej wartości znaleźć można.

Spostrzegam się po niewczasie, że na podróżnika dyletanta suchotniczego, za szeroko się rozpisałem o przeszłości, więc wracam do porządku, a raczej nieporządku dzisiejszej Wenecyi. Rzeczywiście, miasto niegdyś tak

---

chać Pocztyliona, może nawet chętniej niż na ofenbachiady, niech tylko wykonanie będzie tak starannem jak było sobotnie wykonanie Pocztyliona. Opera ta, w której Dobrski zyskał olbrzymie powodzenie, i teraz była wykonaną z całą sumiennością i wykończeniem, widocznem tak w partyach solowych, jak i w chórach i orkiestrze, prowadzonej przez p. Münheimera. Główne role śpiewali pan Filleborn i pani Dowiakowska, a że odśpiewali je dobrze, świadczyły oklaski przepełniającej salę teatralną publiczności. Pan Kozieradzki ze zwykłym sobie humorem odśpiewał rolę margrabiego, a p. Wasilewski w roli kołodzieja, dał nowy dowód pracy, mogącej być korzystnie spożytkowanej i w inych operach tego rodzaju.

Z Kalisza dochodzą nas wieści, jakoby tam powstać miało nowe czasopismo, wychodzące cztery razy na tydzień, bodaj czy nie pod nazwą *Echo z nad Prosny*. Wiemy dobrze, iż pomiędzy zamiarem a jego wykonaniem, wielka jest różnica, wiemy także o tem, że w Kaliszu istnieje liczniejsze może grono literackie aniżeli w któremkolwiek z naszych miast prowincyonalnych—ale z drugiej strony stawiamy sobie pytanie, dlaczego posiadając większe siły, w miejsce ich zjednoczenia, koniecznie mamy je rozstrzelać w dwu wrogich sobie kierunkach? *Kaliszanin* wedle sił, odpowiada swojemu celowi i zadaniu, i jako taki, zyskał już uznanie zarówno prasy jak i czytającej go publiczności. Jeżeli zatem grono osób składających miejscową inteligencyą, dopatruje w nim jakieś braki lub niedostatki, to dlaczego nie poprze go swoją czynną pomocą i nie postawi na tem stanowisku, na jakiemby prowincyonalny ten organ widzieć pragnęło? Są to kwestye ważne, na które tylko ktoś z dobrze z rzeczą obeznanych mógłby nam wyczerpującej udzielić odpowiedzi. Przyjmiemy ją chętnie i w łamach naszego pisma niebawem pomieścimy, jeżeli który z mieszkańców Kalisza raczy nas zaszczycić taką odpowiedzią bezstronną a gruntowną. Kilka powyższych uwag nasunęła nam obawa, aby przy niewczesnej może na polu wydawnictw peryodycznych prowincyonalnych konkurencyi, tak *Kaliszanin* już istniejący, jak i mające dopiero powstać *Echo*, nie poznały zbyt późno, że walka doprowadzić częstokroć może do osłabienia i upadku obie strony wojujące, wątpimy bowiem, aby Kalisz i jego okolice zdobyć się mogły na utrzymanie dwu pism miejscowych, tymbardziej przy pewnej już konkurencyi ze strony odrodzonego do życia piotrkowskiego *Tygodnia*. Nie ulega wątpliwości, że tak jedna jak druga publikacya znajdzie swoich zwolenników, ale wielkie zachodzi pytanie, czy liczba ich po jednej lub po drugiej stronie będzie taką, aby mogła zapewnić byt materyalny czasopismu. *Unitis viribus*, przy dobrych chęciach wiele zdziałać można; przeciwnie przy niezgodzie, nawet to, co już istnieje łatwo doprowadzić do upadku.

świetne i bogate, dzisiaj z każdym dniem chyli się do ruiny i upadku, które szczególniej widnieją, w ulicach od „Wielkiego kanału“ oddalonych.

Już przejeżdżając „Wielki Most“, a raczej groblę, zwaną „Mostem olbrzymów“, łączącą Wenecyę ze stałym lądem, wszczął się spór między nami gdzie stanąć. Moi towarzysze pragnęli zająć mieszkanie w pierwszorzędnym hotelu, ja jako człowiek skromniejszych środków, przyjąłem za zasadę stawanie w hotelach włoskiego nazwiska, gdzie stają krajowcy, pewny będąc, że oni najlepiej muszą wiedzieć, gdzie się wygoda łączy z umiarkowaną ceną. Jakoż doskonale na tem wychodziłem zawsze, a Mortopulos i Delateau również się nie skarżyli, idąc w Wenecyi za mojem zdaniem. Stanęliśmy tedy w Albergo di Gallo, via San Gallo, w hotelu, który czytelnikom rekomenduję dla wygody, dobrej usługi, i wcale niezłego jedzenia, jakiego tu dostać można.

Trudniejsza była sprawa o porozumienie się, co do zwiedzania miasta. Delateau chciał gwałtem dostać przewodnika Francuza, ja wiedząc, że w Wenecyi mieszka Polak, Suski, który się oprowadzaniem podróżnych trudni, chciałem jemu dać coś zarobić. Mortopulos zaś miał drukowanego Bedekera, i z niezachwianą pewnością siebie, przy swej znakomitej znajomości języka, chciał nam służyć za cicerona. Podczas sporów nadszedł wezwany przezemnie Suski, a gdy się pokazało, że wcale nie źle mówi po francuzku, Delateau ustąpił i poszliśmy z nim, na zwiedzanie arcydzieł i ciekawości, pozostawiając nieprzepartego Mortopulosa własnemu przemysłowi, z góry przekonani, że jakieś głupstwo spłodzi.

Jeżeli pytasz czytelniku Wenecyanina, co jest najpiękniejsze w Europie, odpowie ci napewno, że Plac Ś-go Marka. Jakkolwiek różne mogą być gusta w tej mierze, przyznać jednak należy, że Wenecyanin nie o wiele przesadza pochwałę tego uroczego salonu, jest to jedyny bowiem właściwy przydomek, jaki mi się w opisach podróży Juliusza Janina dla placu Ś-go Marka odpowiednim wydał.

Rzeczywiście plac Ś-go Marka, jest salonem Wenecyi. Na nim jednym nie znać upadku, ruch zawsze duży, sklepy najwspanialsze, część ludności najzamożniejsza, i wystrojona od święta, a na około pałace wspaniałe, Kościół Ś-go Marka, pałac dożów i z Piazzety widok na Wielki kanał. Plac ten, cały wyłożony marmurem, na 540 stóp długości, a 252 szerokości i szczególniej w godzinach wieczornych, jest punktem zbornym śmietanki towarzystwa weneckiego.

W kawiarniach dokoła ludno i gwarno; konsumenci sorbetów i granito, zasiadają nietylko pod filarami z dwóch stron placu, ale aż do środka jego prawie. Tłum roi się przy dźwiękach muzyki, oświecony podwójnym światłem od sklepów i ich zwierciadeł i bogatych żyrandolów na placu. Między tłumem uwijają się fioraje, przekupnie suszonych owoców, mozajki, szkiełek, tak, że patrząc na to wszystko z daleka, sądzićby można, że Wenecya nie straciła nicz dawnej świetności.

A jakaż to była świetność. Oto patrzcie na kościół Ś-go Marka! Gdzie jest miasto na świecie, coby się zdobyło na podobne dzieło przepychu i bogactwa.

W roku 829 dwóch kupców weneckich, Bon z Malamocco i Rustic z Torcello, znajdowało się w Aleksandryi w chwili, w której Kalif Egipski kazał zrabować kościół, w którym relikwie Ś-go Marka złożone były. Bon i Rustic nie namyślając się długo, zaproponowali zwierzchności kościelnej, zabranie ciała Ś-go Marka do Wenecyi, przedstawiając księżom podwójną ztąd korzyść, bo najprzód kilka kies złota, a następnie, że już Turcy świętych relikwi nie znieważą, gdy w Wenecyi największą czcią otoczone będą. Księża aleksandryjscy z początku opierali się, gdyż relikwie Ś-go Marka, odwiedzane były przez tłum pobożnych, gdy jednak żołnierze Kalifa powtórny na kościół zrobili napad, a kupcy dołożyli coś jeszcze do pierwotnie ofiarowanej ceny, ciało Świętego zostało im wydane. Chodziło jednak o ukrycie przed muzułmanami, tak wspaniałej zdobyczy. Bon i Rustic, sprawili zatem kosz ogromny, a włożywszy na dno ciało Świętego, przykryli je na wierzch połciami słoniny; pewni, że wyznawcy Proroka nie zechcą się dotknąć mięsa zakazanego przez koran. Gdy w ten sposób ciało dostało się na okręt, owinięto je w płótno i zawieszono między flagami wielkiego masztu, aby uniknąć rewizyi przy wyjeździe z portu. Wybieg udał się zupełnie i przebiegli Wenecyanie, przebywszy szczęśliwie straszną burzę morską, z której ich jedynie „ocaliła Ś-go Marka opieka“, w d. 21 stycznia 829 roku szczęśliwie zawinęli do portu rodzinnego miasta.

Trudno opisać radość mieszkańców na wieść o tak szczęśliwem wydarzeniu. Kronika współczesna opisuje, że Wenecyanie szaleli prawie, gdyż jak twierdzili „obecność Świętego zapewni rzeczypospolitej świetność i powodzenie na wieki“. Zresztą według starej legendy Ś-ty Marek żeglując na morzu Akwilejskim (Adryatyckiem), miał mieć widzenie, że ciało jego na tych niezamieszkałych w onczas ziemiach spoczywać będzie. Doża ówczesny Justynian Participazio, wraz z bratem Janem, całem duchowieństwem i tłumami narodu, przeprowadzili ciało Świętego do katedry ówczesnej na Malamocco. Od tej chwili postać Świętego stała się godłem rzeczypospolitej. Znajduje się ona na wszystkich pomnikach, na pieniądzach dzach i flagach okrętów: Viva San Marco! stało się odtąd hasłem Wenecyan, okrzykiem narodowym, używanym wśród bitwy, zabużeń i zabaw publicznych.

Święty jednak dopiero w końcu X-go wieku doczekał się własnego kościoła. W roku 977 zaczęto stawiać tę wspaniałą świątynię, najprzód z legatu dożów Particiac'ów, Candian'ów i innych, a wreszcie ze składek ogólnych całej Wenecyi i na koszt skarbu. Wykończono gmach cały w roku 1071, lecz całe wieki jeszcze trwało upiększanie go na zewnątrz i wewnątrz. Jest on cały z marmuru, wsparty na pięciuset kolumnach marmurowych, zbudowany w stylu Bizantyjskim, przyozdobiony na zewnątrz i na wewnątrz najwspanialszą mozajką, do której używano najkosztowniejszych kamieni, ornamentując złotem i srebrem. W późniejszych czasach Tycyan Tintoretto i najznakomitsi malarze weneccy dostarczali wzorów dla mozaistów. Wyznaję jednak otwarcie, że w mozajkach tych, podziwiałem więcej pracę niż natchnienie, i że ogromne ich rozmiary nie zrobiły na mnie wrażenia, jakiego zwykle patrząc na arcydzieła sztuki doświadczam. Delateau znalazł oryginalnym sposób uwieczniania świni, która rzeczywiście znajduje się na jednej z mozajek frontowych, na pamiątkę ukrycia w połciu, ciała świętego w Aleksandryi.

Oprócz relikwi Ś-go Marka, w kościele znajduje się obraz Matki Boskiej pendzla Ś-go Łukasza, taki sam jak u nas w Częstochowie. Obrazów takich według tradycyi jest tylko pięć, to jest w Wenecyi, w Padwie, w Rzymie, w Neapolu i nasz Jasnogórski. Kościół sam, ma 190 stóp długości i 160 szerokości, oprócz przedsionka, sławnego przebaczeniem udzielonem przez Aleksandra III Papieża, Fryderykowi Rudobrodemu. W tym przedsionku również złożono trumnę Manina, dyktatora Wenecyi z 1848 i 9 roku. Zresztą kościół ten przechowuje wiele pomników dożów, posągów, z których kilka dłuta Sansovina i był teatrem licznych dziejowych wypadków, które trudnoby było po szczególe wymienić. Na kościele Ś-go Marka znajdują się owe sławne konie Lyzippa, jedyne zabytki sztuki greckiej w tym rodzaju. O ich wartości i znaczeniu estetycznem tomy całe zapisano, a mało który człowiek z dawnych czasów mógłby się pochwalić tak wielkiemi podróżami, jak owe czworonogie marmurowe. Jeździły one z Grecyi do Rzymu w starożytności i retro z Rzymu do Konstantynopola, już w wiekach średnich. W roku 1206 z Konstantynopola zrabowali je Wenecyanie. W początkach obecnego stulecia, zabrał je Napoleon I do Paryża; aż rok 1815, który tak wiele rzeczy w Europie uporządkował i konie Lyzippa na dawne miejsce na kościele Ś-go Marka przywrócił.

(*D. c. n.*)

Z NAUK PRZYRODNICZYCH.

Strategika wojenna owadów.

Błędny pogląd na przyrodę.—Siła i podstęp w walce o byt.—Łowcy dzienni i nocni.—Drapieżne Szklarki.—Zuchwalstwo Os.— W jakim czasie i w jaki sposób osa ubija pszczołę.—Strategika zaczepna Gąsieniczników.—Rozbójnicza amazonka.—Korsarskie życie Pływaka.—Sielanka i dramat.— Pułapka Piaskówki i Mrówkolwa.—Taktyka wojenna Krzyżaka.—Modliszka, Patyczak i Liściec.—Niewinne ramiona pobożnej mniszki.—Łowy świerszcza w podziemiach.—Owady użytkujące z trucizny.—Jad paraliżujący ciało.—Dla czego pomimo srogiej wojny, gatunki tępione nie ulegają zagładzie?—Zaloty i turnieje na drzewach.—Miłostki Mszyc.—Jak drogo pająk opłaca względy swej oblubienicy.—Zbójecka jaskinia Zdunka.—Szczypawka i bombardyer. — Rycerze pancerni. — Chróściki i Tarczówka.—Strategika obronna owadów dwuskrzydłych.— W jaki sposób żuki napastowane unikają śmierci.—Wnioski stąd wypływające.—Jak kąsawce odstraszają nieprzyjaciela.—Broń odporna Topolówki.

Dla ludzi nieobznajmionych z życiem jestestw przyrody, świat ten niema prawie żadnego powabu, i nie raczą się wcale nim zaprzątać—a jednak obyczaje rzesz zwierzęcych, przedstawiają tyle stron ciekawych, że z korzyścią zajmować mogą umysł najpoważniejszego myśliciela.

Z tego też względu dzisiejsza literatura naukowa, obfituje w mnóstwo tego rodzaju publikacyi, widocznie chcąc przełamać lody obojętności i zniszczyć uprzedzenie.

Stąd też wybraliśmy za przedmiot do niniejszej pogawędki z czytelnikiem, entomologią, a mianowicie dział jej najponętniejszy, dotyczący bowiem militarnych zdolności owadów.

Zdawaćby się mogło na pozór, że w hierarchii zwierzęcej gatunki fizycznie najlepiej rozwinięte, reprezentują zarazem najwyższy stopień inteligencyi, że naprzykład z władzami umysłowemi słonia, psa lub tygrysa, nie mogą się ani mierzyć cechujące pająka, muchę, lub mrówkę. Pojęcie to wszakże jest zastarzałe i całkiem błędne.

Nowsze spostrzeżenia przyrodników okazują najjawniej, że stosunkowo biorąc, zwierzęta niższej organizacyi, przewyższają często twory kolosalnego nawet wzrostu, tak rozwojem właściwej im inteligencyi, jak i doskonałością ich maleńkich organów.

Nie potrzebujemy tu nadmieniać, że inteligencya potwórczej zwierząt bynajmniej nie dorasta rozwojowi ludzkiej, i nigdy jej stopnia nie dosięgnie.

Chcemy tu jednym słowem wskazać broń owadów i sposób w jaki się nią posługują.

W całej przyrodzie organicznej istnieje walka o byt, ona to rozwinęła geniusz człowieka, wyzwoliła go ze stanu dzikości, i doprowadziła do pozyskania najwyższego dobra: cywilizacyi, z której dziś słusznie możemy się chlubić. Któż w tej walce o istnienie nie podziwiał Robinsona Krusoë, wysilającego się na wynalazki dla zaspokojenia wymagań żołądka i tylu innych bohaterów powieściowych Daniela de Foë? U wielkich zwierząt ssących, potrzeby tegoż organu wytworzyły zwyczaje, których historya należy nie zaprzeczenie do najciekawszych. Chytry lis, chwytający zdobycz, niekiedy w sposób przedziwnie obmyślany—lis zabezpieczający swe życie sprytnemi pomysłami, we wszystkich wiekach zwracał uwagę człowieka, korzystającego nieraz z nauki przebiegłości, wykładanej przez to zwierzę. Osobniki obdarzone od natury siłą, walczą w otwartych szrankach, że tak powiemy z podniesioną przyłbicą—słabsze zaś używają *podstępów*.

Zwinna antylopa ocala się ucieczką,—królik zagrzebuje się w norze, — jeż zwija się w kłębek,—żółw kryje swe ciało w kostnym pancerzu,—śmierdziel wydziela woń cuchnącą,—sepia znika w chmurze nieprzezroczej.— Słowem, każde zwierzę, rozwija właściwą sobie strategikę w obronie swego istnienia.

Fakty tego rodzaju są prawie powszechnie nam znane, natomiast obcą jest całkiem ogółowi, taktyka rozwijana w walce przez twory niższego rzędu, naprzykład przez owady.

Owóż taktyka ta, będzie tkanką niniejszego szkicu pobieżnego, i przekonać powinna czytelnika, że najdrobniejsze jestestwa nie ustępują w zdolnościach umysłowych starszym swym krewniakom.

Z pośród myśliwców przyrody, odznaczających się większym wzrostem, orzeł, sokół i jastrząb, polują w dzień, większa część jednak ptaków drapieżnych, wybiera na łowy porę nocną, użytkując jednocześnie z siły i podstępu.

Przechodząc do owadów, znaleźlibyśmy wpośród nich niemniej orły i sokoły. Takiemi mianowicie są Szklarki (Libellula) w bystrym locie przerzynające powietrze, krążące i zwracające się zawsze w określonej przestrzeni, na podobieństwo ptaków drapieżnych.

Nietylko szklarki są rozbójnikami powietrznych szlaków, osy ze wszech miar na tę nazwę zasługują.

Jeżeli w rzędzie owadów, szklarki są sokołami, to osy najniezawodniej mogą być zaliczone do sępów. W rzeczy samej, osy nie ograniczają się na łowach zdobyczy żywej, ale nadto poszukują zwłok jestestw. Obok tego z osobliwszem upodobaniem rzucają się na winogrona, brzoskwinje, oraz pokarmy stanowiące pożywienie człowieka. Zuchwałe do czelności, przeciskają się te owady do naszych mieszkań, i bezwstydnie obsiadają stoły jadalne.

Każdy z wychowujących koty, wie dobrze, że te zwierzęta lubią przedewszystkiem wątrobę. Osy równie namiętnie jej poszukują, i dlatego zaglądają często w swych wycieczkach do rzeźni, jak to już zaobserwował Réaumur.—Przyrodnik ten opowiada, że rzeźnicy otwierają umyślnie osom zněconym wątrobą, wstęp do jatek, aby zabezpieczyć się od much niebieskich, daleko szkodliwszych od tych owadów. W rzeczy samej osy rzucają się szalenie na owe muchy i wypędzają je niemiłosiernie, aby stać się panami zdobyczy—przyczem muchy giną secinami pod żądłem tych okrutnych prześladowców.

Jakkolwiek muchy domowe są zwykłym połowem os, te wszakże napastują i pszczoły, chociaż owady powyższe są daleko lepiej od much uzbrojone. Osa chwyta pszczołę i wpół ją przecina szczękami—odrzuca gorset i wyżera wnętrzności.

Zwracamy tu uwagę, że osy nie napadają pszczół wybiegających z ula, lecz tylko powracające do niego. Przebiegłe te owady wiedzą doskonale, że te ostatnie obładowane są miodem, a tem samem obiecują im bankiet smaczniejszy. Samica Gąsienicznika (Ichneumon), poluje na gąsienice. Upatrzywszy którą z nich, spada natychmiast na liszkę, zatapia w jej grzbiecie kolec jakim jej ciało jest zakończone, a jednocześnie z tem cięciem, składa w ranie jajko. Biedna gąsienica od tej chwili jest zgubioną—już nie dokona nigdy przemiany, tyle dla niej pożądanej. Z jajka złożonego w jej ciele, wylęgnie się wkrótce poczwarka, która wyżerać będzie jej tkanki, oszczędzając wszakże starannie organa do życia gąsienicy potrzebne. Ta wzrasta wraz z pasożytem gospodarzącym w jej ciele, i z kolei zmienia się w poczwarkę. Wówczas poczwarka gąsienicznika nie ma potrzeby dłużej oszczędzać swej ofiary, pożera ją i korzystając z mocnej skorupy swej karmicielki niewolnicy, spełnia w niej swe przeistoczenie się.— Wreszcie w czasie właściwym wybiega z tego schronienia potężnie uzbrojona, i podobnie jak jej rodzice, spieszy na rozbój nowego pokolenia gąsienic. Nie można tego zaiste nazwać harmonią panującą w przyrodzie, jakkolwiek to określenie jest przyjmowanem.

W czasie lata, spotykamy polującego zapalczywie po drogach przy świetle słonecznem, przepysznego żuka tęgopokrywego, barwy zielonej pomieszanej z białą. Głowa jego uzbrojoną jest potężnemi szczękami, a sześć nóg niemniej dzielny stanowi oręż. Tym zwinnym rycerzem, a raczej amazonką jest *Piaskówka* (Cicindela), najdrapieżniejsze stworzenie z owadów. Biada istocie stającej się łupem tego żuka, który w srogości dorównywa tygrysowi.

Na wodach krążą również bandy zbójeckie korsarzy. Z pośród owadów tu wojujących, są gatunki przypominające nam wydry, szczupaki i rekiny. *Pływak* (Dytiscus) pod postacią poczwarki, przejawia charakter dziki, okrutny do najwyższego stopnia. Rzuca się on zacięcie na zwierzątka nierównie większe od niego, szarpie w sztuki swe ofiary i pożera żarłocznie.

Łowcy nocni są liczniejszemi od dziennych w czasie lata gdy zmrok zapadać zaczyna, gdy powietrze wonne w pośród ciszy zapełnia nasze piersi rozkosznem wrażeniem, w tej godzinie opiewanej przez bardów, rozpoczynają się istne rzezie. Okrzyki wojownicze tryumfu zwycięzców, i jęki pokonanych, tworzą ową symfonję, którą pospolicie poczytujemy za tony wesela i rozkoszy.

Jeszcze słońce nie skryło się po za horyzont, a już występują do walki całe rzesze tworów skrzydlatych, napełniając atmosferę brzękiem.

Każde drzewo, każda gałązka i listek, jest areną boju, sceną zabójstwa, dramatem krwawym, przerywanym gdzie niegdzie miłosną sielanką. W krajach zwrotnikowych rozlegają się w lasach krzyki jeszcze straszliwsze. Wojna toczy się w ich głębiach na wszelkich punktach—pod naszem niebem umiarkowanem, głosy te mniej są donośle, gdyż sprawcy ich należą do jestestw nieporównanie mniejszych. Walka jednak trwa uparta, zacięta, gorąca, nietylko na lądzie, ale i na wodach i w powietrzu. Puchacze, sowy, niedoperze, komary, spełniają w cichości nocy strategiczne ruchy, sposobiąc się do napaści na zdobycz.

Z pośród tych rycerzy, jedni posługują się siłą, staczają boje w otwartem polu—drudzy słabiej uzbrojeni, ale niemniej chciwi łupu, czyhają w zasadzkach.

Mówiąc o łowach dziennych, wymieniliśmy piaskówkę, wypada nam dodać, że nie zawsze ona może używać z korzyścią swych sześciu długich nóg, pracujących dla jej nienasyconego żołądka. Będąc w stanie poczwarki, piaskówka posiada wprawdzie dość silne szczęki, ale krótkość jej nóg w owej epoce nie pozwala jej na śmiałe wycieczki. Co czynić, dla zaspokojenia głodu—tego najniecierpliwszego z wierzycieli? W tym stanie rzeczy wypatruje ona ścieżki uczęszczane przez mrówki, wydrąża na jednej z nich otwór pionowy i głęboki, u wierzchołka którego pomieszcza się, zgięta w postaci głoski *S*. Głowa jej okrągła, płaska, nieruchoma, tuż przy poziomie, zasłania najdokładniej otwór tego rodzaju studni. W tem położeniu piaskówka oczekuje cierpliwie na zdobycz. — Przybywa mrówka, następuje niebacznie na jej głowę, a ta natychmiast się obniża w przepaść. Tafla ruchoma w posadzkach, nie jest jak widzimy wynalazkiem człowieka.

Mrówkolew (Myrmecoleon formicarius), postępuje nieco inaczej, wygrzebuje w ziemi piasczystej lejkowaty dołek, w którym przykryty piaskiem czatuje na wpadające tam mrówki.

Przejdźmy do pająków. Jakkolwiek tworzą one oddzielną klasę od owadów, to przecież pomiędzy obu temi gromadami, są pewne węzły pokrewieństwa— możemy je zatem zestawić z właściwemi owadami. Przemysł godzien podziwu, przebiegłość, niesłychane okrucieństwo, niegodne obchodzenie się samicy ze swym małżonkiem—wszystkie te rysy obyczajowe, zwracały od czasów starożytnych uwagę przyrodników na te zwierzęta. Nie tyle z misternej sztuki z jaką rozpinają pajęczą tkankę, zasłynęły te twory, jak raczej z inteligencyi. Pod tym względem, żaden zwierz ssący, nawet wyższej organizacyi, nie wytrzymuje z niemi porównania. Chcąc znaleść coś podobnego, potrzeba byłoby sięgnąć do człowieka chwytającego ptastwo w sidła. Każdy gatunek pająka, w odmienny sposób sporządza swą tkankę. Tak zwany *Krzyżak* (Epeira diadema), przędzie siatkę posiadającą tak regularne oczka, jakby miał miarę w oku. Jest to skończony artysta. Jedne pająki rozpinają tkankę ścisłą, której nadają kształt hamaka, inne rozwijają nitki lepkie w rozmaitym kierunku, na pozór bez żadnego porządku.

Jak tylko owad uwikłanym zostanie w siatkę, pająk nań napada. Jeżeli zdobycz nie ma odpowiedniej siły, w jednej chwili plącze się w nitkach paraliżujących jej ruchy. — Przeciwnie gdy owad jest dobrze uzbrojonym, pająk zatrzymuje się, krąży około niego, wyczekuje, póki ofiara nie wyczerpie sił w szamotaniu się—poczem skacze do niej, stara się uchwycić łup z tyłu, uniknąć razów rozpacznych i zwykle staje się zwycięzcą. Jeżeli opór nieprzyjaciela jest tak silny, że udaremnia wszelkie natarcia pająka, ten zmienia taktykę. Zamiast przedłużać bezowocną i niebezpieczną dlań walkę, sam wyswobadza z więzów przeciwnika, przecinając nitki go wikłające. Jest on wtedy dla niego intruzem uszkadzającym mu siatkę—straszydłem odpędzającym muchy, sąsiadem szkodliwym i groźnym.

Do wynalazków człowieka zaliczamy niesłusznie pułapkę, gdyż owady od dawna z niej użytkują. W krajach gorących, a nawet na południu Europy istnieją olbrzymie owady, opatrzone skrzydłami przypominającemi do złudzenia kształt i kolor liści. Gdy zwierzątko spoczywa na jakim krzewie, oko nie jest w stanie odróżnić go od otaczającej zieleni. Do tego osobliwszego rzędu owadów należy *Modliszka* (Mantis religiosa), czatująca z po-

dniesionemi przedniemi nogami na mniejsze jestestwa—*Patyczak* (Plasma gigas), prawie na stopę długi, z postaci podobny do suchego kawałka drzewa.—*Liściec* (Phyllium siccifolium) owad płaski, do uschłego liścia podobny. Postawa modliszki porównaną być może do osoby modlącej się, stąd też we Włoszech nazwę *mniszki pobożnej* otrzymała. Mniszka ta przecież nie żąda od nieba niczego więcej, jak tylko aby jaki owad wpadł w błagalnie rozwarte jej ramiona. Gdy to nastąpi, ramiona te zwierają się silnie, a zdobycz ujęta w ich uścisku kończy życie.

Przestwory lądów, mórz i atmosfery, zapełnione są złoczyńcami rozmaitej siły i wzrostu. Wnętrze nawet ziemi, nie zapewnia bezpieczeństwa jej mieszkańcom. Kret i świerszcz polują w podziemiach i przedstawiają w obyczajach pewne podobieństwo, jakkolwiek różnią się całkiem organizacyą. Świerszcz równie jak kret, rozkopuje ziemię, urządza w niej długie korytarze i w tych ciemnicach czyha na poczwarki drobnych owadów, któremi się żywi.

Niektóre ludy dzikie, używają w wojnie strzał zatrutych. W tym celu przyrządzają rozmaitego rodzaju trucizny, z których jedne działają z piorunującą szybkością, inne zaś tylko członki ofiary paraliżują. Coś podobnego napotykamy u owadów. Żądło jadowite szerszenia, wielce nam przypomina kirys malajczyka powleczony kurarem. Wiadomo, że trucizna zwana *para*, niszczy działalność nerwów ruchu, paraliżuje zwierzęta, a przechodząc w większej ilości do krwi, sprowadza śmierć nieuniknioną. Podobny jad posiadają osy, pszczoły, i niektóre inne owady, z rzędu błonkoskrzydłych (hymenoptera).

Istnieje gatunek os w południowej Ameryce, które zaszczepiają jad schwytanym gąsienicom, pająkom i szarańczy. Owady w ten sposób sparaliżowane, zostają następnie zagrzebane w jakiej norze ziemnej, w której te osy jajka składają. Wylęgłe młode już w chwili urodzenia znajdują świeże pożywienie w ciele zatrutych, a raczej ubezwładnionych ofiar, a pokarm ten zawdzięczają przezorności macierzyńskiej.

Człowiek zaopatrując się w straszliwe pociski, w broń przeróżną, rzec można naśladował arsenał, jaki mu przedstawiała przyroda. Wszelka istota w strategice wojennej, ma do wyboru trzy drogi. Pierwsza polega na unikaniu nieprzyjaciela— druga na zabezpieczeniu się od jego napaści z pomocą podstępu ułatwiającego wyjście z niebezpiecznego położenia—trzecią wreszcie stanowi starcie się w otwartem polu z przeciwnikiem, czyli wymaga użycia siły.—Te trzy drogi znachodzimy w taktyce owadów.

Nie ulega wątpliwości, że niezmierne mnóstwo jestestw rodzi się dlatego tylko, aby innym służyć za pożywienie. I nie może być inaczej—w braku bowiem tych jestestw, niemniej kolosalna liczba zwierząt, od urodzenia stawała by się pastwą głodu. Na szczęście jestestwa pierwszej kategoryi, posiadają własność rozradzania się w niezliczonej ilości, a tem samem gatunki ich utrzymują się, pomimo wojny wytępienia trwającej bez przerwy w przyrodzie.

Wiele owadów poszukuje w ciemnych zaułkach bezpiecznego schronienia.—Jedne z nich przebywają pod ziemią, inne w dziuplach drzew, a nawet w tkance liści—dopóki nie przyjdzie godzina, w której jaki owad silniejszy wedrze się do ich ustronia, zmiażdży łakomą paszczą jego mieszkańców, lub zmusi ich do opuszczenia kryjówki. Nietylko wśród ludzi miłość zakłóca spokój życia, i sprowadza przygody niefortunne. Owady, w zaciszu jakie sobie wybrały za pomieszkanie, oddają się miłostkom niemniej rozczulającym, gotowe walczyć z bohaterskim zapałem ze współzalotnikami, o posiadanie wdzięków bogini ich serca. Ta sielanka liryczna, przeplatana dramatycznemi epizodami życia, odbywa się tak na drzewach, jak i w norach podziemnych. Miłostki mszyc na wierzbach przydrożnych, mogłyby posłużyć niezaprzeczenie za przedmiot bardzo ciekawy do powieści obyczajowej, chociaż niezbyt budującej, ze względu na prawa moralności, nieraz sponiewierane okrutnie w skutek niesłychanej drażliwości układu nerwowego tych jestestw.

Miłostki owadów często kończą się bardzo tragicznie. Pająk domowy (Tegenaria domestica), gdy pora zalotów się zbliża, porzuca swą prządkę, ulegając nieprzepartemu pociągowi natury. Nieszczęśliwy ten kochanek, znajduje w swej oblubienicy istotę w najwyższym stopniu przykrą, nietowarzyską, i często opłaca drogo krótką chwilę rozkoszy, jaką raczyła go obdarzyć ta piękność kapryśna i złośliwa. Jedynie szybka ucieczka może zbawić od śmierci uszczęśliwionego kochanka. Jejmość pająkini ściga bez litości zalotnika, a biada mu, jeżeli dostanie się w jej groźne ramiona. Rozjątrzona rozszarpie go w jednej chwili.

(*D. n.*)

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Gdyby pani Chojnowska usłyszała była te wyrazy, burza małżeńska przyspieszyła by się o całe dwadzieścia cztery godzin.

Pan Marek jeszcze potem rozmawiał z karbowym, wydał dyspozycye z której sterty groch jutro młócić; a następnie odmówiwszy pacierz klęcząc, położył się spać uzbroiwszy się w odwagę na jutrzejsze przejścia, których się słusznie spodziewał.

Na drugi dzień rano z domu wyszedł oświadczywszy, że na obiedzie być niemoże, a obejrzawszy stodoły, obory i owczarnie, siadł na konia i do proboszcza na obiad i gawędę pojechał.

Musiał tam przy tej gawędce gąsiorek miodu pęknąć, ponieważ pan Marek do domu późnym wieczorem wracając, kiwał się na kasztance, jak rabin nad talmudem, a nawet nucił półgłosem jakąś piosneczkę, co mu się już od bardzo dawnego czasu nie zdarzało.

Zdaje się, że proboszcz musiał umacniać pana Marka w powziętem postanowieniu, gdyż dojeżdżając do domu poczciwy pan Chojnowski miał minę bardzo zdeterminowaną i stanowczą, a na Onufrego zawołał tak srogim i donośnym głosem, że aż we wszystkich budynkach odezwało się echo.

Pani Markowa czekała na męża i skoro ten wszedł do pokoju, nie pozwoliła mu nawet zdjąć burki, lecz odrazu przywitała gradem wymówek.

— To ty zamiast posłać po dziecko, włóczysz się po wizytach, z domu uciekasz, a tego biedaka tam męczą, znęcają się nad nim.

Pan Marek, milczał wiedząc zapewne, że to jedyna broń na gwałtowność żony.

— Dla czego nie posłałeś po Czesia? co! dlaczegoś tego niezrobił, kiedym ci wczoraj mówiła, czy zapomniałeś.

— Ależ nie tak gwałtownie, mówił pan Marek wieszając burkę na gwoździu, uspokój się aniołku, poślę po niego, poślę...

— Kiedy poślesz? zaraz poślij, bo oni tam dziecko zamordują.

— Kiedy poślę, to znowu inna kwestya, niech no pierwej praktykę ukończy, to sam po niego pojadę.

Tego tylko było potrzeba, aby tamy żalu macierzyńskiego pękły.

— Ach ty nie godziwy człowieku! ty ojcze bez serca, ty mężu bez uznania, wołała pani Chojnowska w najwyższem oburzeniu, nie masz litości nad dzieckiem.

— Otóż nie poślę! rzekł stanowczo pan Marek.

— Poślesz!

— Nie poślę.

— Otóż poślesz!

— Ani myślę!

Bóg wie do jakich konkluzyi doprowadziła by ta małżeńska wymiana not gabinetowych, gdyby gwałtowne ujadanie psów na dziedzińcu nie oznajmiło gościa.

Zwrócono oczy ku drzwiom, i o dziwy! kwestya małżeńska rozstrzygnęła się od razu.

Do pokoju wpadł Czesio.

VIII.

— Jak żyję nic podobnego nie widziałem.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć — to ja nie słyszałem nawet o takiem gospodarstwie.

— Co pan dobrodziej myśli, u nich wszystko tak.

— Dziwne rzeczy mi sąsiad kochany powiadasz.

— Co to dziwne, bardziej się pan zadziwi jak mu powiem, że tam nawet i psy niepróżnują.

— Psy?

— A no psy, tak mi Panie Boże dopomóż, na własne moje oczy widziałem: ogromne czarne psisko masło robi.

— Nie może być.

— Bodajbym tej lampki wina niewypił jeżeli kłamię, chociaż przyznam się, że gdyby mi to kto powiadał nie chciałbym temu dać wiary ale swoim własnym oczom trudno nie wierzyć.

— Więc widziałeś sąsiad na własne oczy?

— Ot tak nieprzymierzając jak was tutaj widzę, pies chodzi w takim małym deptaczku i masło robi.

— Dziwne rzeczy, wprawdzie jeszcze dawniej widziałem w jednym Bernardyńskim klasztorze jak pies pieczeń na rożnie obracał, ale żeby miał masło robić, o tem pierwszy raz słyszę.

— Ale powiadam wam moi panowie, że to tylko patrzeć co się tam wyrabia, krowy karmią brukwią gotowaną — żadnej parokonnej fornalki nie zobaczysz...

— A jakżeż w pojedynkę?

— Gdzietam panie, trójkami—po trzy konie w pługu, po trzy w bronie, w wozie, a nawet jak orzą wołami to i tam w trójkę...

— Ależ to czyste marnotrawstwo.

— Marnotrawstwo, albo i nie bo powiadam wam jakem zobaczył jakie to oni fury zboża wieźli, tom się za głowę złapał... wóz jak stodoła.

Tak sobie, w rok po opisanych wyżej zdarzeniach, gwarzyli w handelku trzej nasi znajomi. Przyjechali do miasteczka na jarmark spotkali się przy butelce i gawędzą o różnych rzeczach.

Był to pan Maciej z Woli Wrzeszczącej, marszałek Sapajło z wielkich Patyków i nasz pan Marek z Wólki.

Wypili sobie parę buteleczek i słuchali jak pan Maciej, który w swoich stronach za ultra postępowca uchodził, opowiadał dziwne dziwa

o jakiemś wzorowem niemieckiem gospodarstwie na kujawach.

— Powiadam wam, prawił, że oni nie znają tych naszych małych młocarni, mają parowe. Przyprowadza taką maszynę na pole i ani się obejrzysz tak stertę zboża zmłóci i jużpanie do stodoły nie ma co zwozić tylko prosto do spichrza.

— Dawno sąsiad z tamtąd powrócił, pyta pan Marek.

— Tydzień temu jak tam byłem — właśnie odwoziłem tam mego synowca, który prawdopodobnie zabierze po mnie Wolę, chciałem żeby się przyzwyczaił do porządnego gospodarstwa i oddałem go na praktykę.

Pan Marek zamienił się w słup.

— A miałem go oddać tutaj gdzie blisko ciągnął dalej pan Maciej, to już wolałem zawieść go dalej, bo tam przynajmniej coś zobaczy, a u nas na tych naszych zakątkach, kto się może czego nauczyć?

— Bieda to z dziećmi, rzekł pan Marek, któremu los Czesia leżał na sercu kamieniem. Ot pamiętacie przed dwoma laty, kiedyście byli u mnie więc uradziliśmy oddać mojego chłopaka do cukrowni i byłby z niego człowiek. Ale wyobraźcie sobie, chłopak ambitny, nie chciał tych Niemców słuchać i uciekł panie dobrodzieju. Chciałem go odwieźć napowrót, ale jak mi żona zaczęła płakać i lamentować machnąłem ręką... i

— I cóż, odwieźliście go do Warszawy...

— A no cóż było robić. Prosiłem perswadowałem upierałem się, ale jak mi zaczęli głowę klekotać; musiałem zgodzić się na wszystko. Umyśliło mu się koniecznie, że będzie aptekarzem.

— Co, aptekarzem? zapytali jednocześnie pan Maciej i marszałek.

— A tak aptekarzem, wyraźnie wam powiadam, ale ja wiedziałem naprzód, że to się psu na budę nie zdało...

— No i to chleb, wtrącił pan Maciej, jeżeli zechce pracować, to za lat parę może mieć własne utrzymanie, a potem może i własną aptekę założy.

— Ciekawy jestem gdzie ją założy, chyba w Wólce za stodołą, rzekł z gniewem pan Marek.

— Przecież są miasta na to, a na wsi nikt apteki nie zakłada.

— Ale mój Czesław, to może i założy, bo już od trzech dni jest w domu.

— Jakto więc wrócił?

— Wrócił, uciekł po prostu, mówiąc między nami, mówi że ciężko, że to nie dla niego robota.

Sąsiedzi kiwali smutnie głowami, żal im było biednego pana Marka, który tyle miał z chłopcem kłopotu a pan Marek chciał się przed nimi użalić i wypowiedzieć to co mu najwięcej dolegało.

Kazał tedy podać butelkę starego węgrzyna a że wino usposabia do zwierzeń więc też puścił wodze głosowi zbolałego serca i szeroko sąsiadom o swoich utrapieniach opowiadał.

— Próżniak jest mówił, chciałby bąki zbijać przejeżdżałby się tylko po świecie, różnych zawodów próbował, a tu ciężko, okropnie ciężko... a przecież i dziewczyny są w domu i jeszcze chłopców kilku a ja już stary jestem...

— Co tam sąsiad prawisz, nie bierz sobie tego tak dalece do serca wszystko się jeszcze odmieni, pokieruje się dobrze, tak pocieszał strapionego ojca pan Maciej, zaś pan marszałek uporczywie milczał.

— Cóż mam z nim robić, bójcie się Boga poradźcie mi przecie, bo ja doprawdy i głowę już straciłem.

— Oddajcie go do tego gospodarstwa niech praktykuje mówił pan Maciej, ja tam pojadę nie długo, mogę zabrać go z sobą, przyjmą go bez żadnej zapłaty.

Panu Markowi podobała się ta myśl, a podobała z tej przyczyny, że ojciec naszego bohatera, chociaż nigdy prawie żadnych teoryi nie wygłaszał w duszy jednak był konserwatystą, co więcej nawet, uznawał potrzebę kastowości. Według jego przekonań syn gospodarza powinien być gospodarzem, syn kupca kupcem, a syn rzemieślnika rzemieślnikiem. Zawsze marzył o tem, że i jego pierworodek będzie kiedyś dobrym rolnikiem, że się ożeni bogato, i żyć będzie patryarchalnie używając w swoim powiecie dobrego imienia i ciesząc się przyjaźnią i życzliwością sąsiadów. Według pojęć pana Marka gospodarstwo rolne był to jedyny szlachetny zawód, a pozycya obywatela ziemskiego najzaszczytniejszą pozycyą na tym padole płaczu.

Jeżeli zaś, w pokierowaniu losem swego syna odstąpił cokolwiek od swoich przekonań, to uczynił to tylko słuchając rad szwagra o którego rozumie wysokie miał zawsze wyobrażenie, ustępując prośbom żony i idąc za głosem sąsiadów, którzy ten projekt chwalili.

To też usłyszawszy propozycyą pana Macieja rzucił mu się na szyję wołając:

— A mój drogi sąsiedzie niechże cię uściskam, to mi rada dopiero. Zawsze marzyłem o tem żebym mego chłopca widział gospodarzem i obywatelem. I on chyba już tego chleba nieporzuci, bo przecie wyrósł na wsi, tutaj się wychował, tutaj...

— Bąki zbijał! wtrącił pan Maciej.

— I bąki zbijał, mówił pan Marek z płaczem. Zbijał bo młody, i ja zbijałem i sąsiad kochany to samo robiłeś i marszałek bąki zbijał. Od czego u djabła młodość...

— Więc kochany panie Marku jak widzę nie pogardzilibyście moją radą i przysługą.

— Ależ sąsiedzie kochany... panie Macieju, Maciusiu mój drogi... zbawco! rękami i nogami czepiam się tego, niech jedzie, zaraz go wyprawię, niech się uczy i wyjdzie na ludzi.

— No więc dobrze... dobrze, mówił pan Maciej w uściskach sąsiada—jedziemy, tylko mój sąsiadeczku stanowczo bo jak wam żona...

— Do licha! przecież u milion fur beczek ojcem jestem...

— Powoli, powoli... bądźcie gotowi jak będę miał wyjeżdżać to dam znać do Wólki i przyślecie mi chłopca...

— Lepiej sam przyjedź panie Macieju taki miły gość zawsze jest pożądany i witany mile.

— No i cóż panie marszałku co pan na to powiadasz?

Pan Sapajło uśmiechnął się jakoś dwuznacznie i powiedział:

— Kiedy rada pana Macieja tak wam do serca przypadła, cóż ja mam już tutaj mówić...

— Ale owszem, marszałku powiedz co ty o tem myślisz.

— No dobrze, kiedy już chcecie koniecznie to i ja wam swoje racye powiem.

— Owszem słuchamy bo przecież znamy waszą życzliwość.

— Widzicie, mówił pan Sapajło, pan Maciej ślicznie mówi, chłopak jeszcze młodziénki, niech tam się trochę w gospodarstwie przetrze. A po kilku latach niech mu tylko wąsy cokolwiek odrosną weźcie go zawieźcie do rejenta.

— A cóż to chcesz go sąsiad na pisarczyka wykierować?

— Otóż to bieda jak kto nie słucha i przerywa.

— Ale bo na co go mamy wozić po rejentach.

— Tam zrobić kontrakt, oddając jakoby niby... Wólkę Czesławowi w dzierżawę na lat choćby dwanaście.

— Po co?

— Tylko słuchajcie dalej, ten kontrakt włożywszy mu w kieszeń, każcie mu jechać w Hrubieszowskie, Kaliskie gdzie wam się tylko podoba, niech się zapozna ze szlachtą, wynajdzie jaką posażną panienkę, no i... na to mówiąc, proście marszałka na wesele... Ot i tym sposobem twoje kłopoty się skończą kochany panie Marku i kamień z głowy ci spadnie.

— A to powiedział co się nazywa dobrze rzekł pan Maciej.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOSCI.

— Jeden z inżynierów francuzkich, niejaki p. **Trouvé**, oznajmił Paryzkiemu towarzystwu żeglugi napowietrznej, iż przygotowanym jest do odbycia podróży balonem do wysokości 12 Kilometrów a nawet wyżej. Dla uniknięcia smutnego wypadku, jaki spotkał śmiałych podróżników balonem „Zenit" p. Trouvé urządził przyrząd gutaperkowy, w rodzaju tych jakich używają nurkowie. Przyrządy te będą połączone z rezerwoarem wypełnionym tlenem, a zaopatrzony w taki przyrząd podróżnik będzie mógł bez narażenia życia przebywać w rozrzedzonem powietrzu. W Sorbońskim pokoju żelaznym, z którego powietrze wypompowywa się za pomocą maszyny pneumatycznej, mają być przedsięwzięte doświadczenia, celem wyprobowania tego przyrządu.

— W tych dniach we Lwowie mają przedstawić w teatrze **„Lillę Wenedę"** Słowackiego, w której tytułową rolę, ma odegrać pani Ładnowska.

— Pan Jan Amborski napisał **studyum nad Beranger'em** znakomitym piosenkarzem francuzkim. Dzieło to w tych dniach opuściło prasę— wydane nakładem księgarni lwowskiej, Szmidta i Gubrynowicza.

— Akademia Sztuk Pięknych w Paryżu, mianowała **Antoniego Rubinsztejna** swoim członkiem, na miejsce zmarłego Doussaigne Michała.

— „Nowosti" donoszą, że zwierzchność Petersburgskiego uniwersytetu, dozwoliła studentom **urządzić kasę zasiłkową,** z tem jednak zastrzeżeniem, że wkłady do niej niemogą być większe nad 2 ruble, a pożyczki nie mogą być wyższe jednorazowo nad 50 rubli— Uczestnicy kasy, przy wyjściu z uniwersytetu, odbierają wniesione do niej kwoty, ale bez procentu, który pozostaje na zwiększenie funduszów kasy.

— W Wielkiej Operze Paryzkiej ma być urządzonem przedstawienie na dochód rodzin pozostałych po śmiałych żeglarzach napowietrznych **Croce i Spinellim.**

— Jednym z najbardziej utalentowanych powieściopisarzy Amerykańskich, jest **Bret-Hart**— Ma on 30 lat wieku, pozostawiony w młodym wieku bez żadnej pomocy, gdy doszedł do lat 16, rzucił się w życie bez celu żadnego; był komisantem, robotnikiem, rolnikiem, nareszcie w 18 roku życia wstąpił jako zecer do drukarni— W wolnych chwilach od pracy, złożył z głowy powieść p. t: **Wandet a printer** (Potrzebnym jest zecer) która zyskała mu ogromną sławę— Od tego czasu zaczął pisać feljetony do gazet, artykuły wstępne, powieści i wiersze, które wprost z głowy składał w drukarni— obecnie posiada on wspaniałą willę w Moristown i rozporządza znacznym majątkiem.

Sprostowanie. W numerze 31 *Ogniska Domowego* w artykule *O mieszkaniach podziemnych* zaszły pomyłki, które sprostować należy jak następuje:

Stronica 250 w tytule wiersz 3 od góry zamiast *D-ra Beclama* czytać należy *D-ra Reclama.*

Wiersz 5 od góry, zamiast *Łukswski* czytać *Łukowski.*

Str. 250, łam 3, wiersz 21 od góry zamiast (*a więc* 2%) ma być (*a więc* 20%).

Str. 251, łam 3, wiersz 29 od dołu zamiast: *na* $1^1/_2$ *stopy*, ma być *na* $2^1/_2$ *stopy.*

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 31).

ROZDZIAŁ VIII.

Nad Wyeą.

Pomiędzy górami okrytemi lasami, płynie szeroka i bystra rzeka, tworząc właśnie w miejscu które opisujemy, tak głęboki zakręt, że góry zdają się go otaczać na wszystkie strony. W głębi tego zakrętu niski mur z kamieni nieociosanych i piasku, zaledwie wychodził z wody, a na jakie szesnaście lub dwadzieścia stóp zanurzał się w koryto rzeki. Znający się na rzeczy pozna odrazu, że ten mur, tworzący kąt prosty, jest rodzajem zasadzki na łososie, albo raczej zaporą mającą zapobiedz, aby zadaleko nie zapuszczały się w rzekę. Nad brzegiem, wijąc się podług zakrętów rzeki, ale na wpół osłonięta drzewami tak gęsto rosnącemi, że tworzą rodzaj naturalnej ulicy, ciągnie się samotna droga. Zielona łączka przedziela drogę od rzeki. Tam pod cieniem olszynki leżało dwóch młodych ludzi, pogrążonych w śnie głębokim; tłomoczki podłożyli sobie pod głowę a narzędzia do łowienia ryb leżały obok nich na trawie. Niebyło chmurki na niebie, żaden wietrzyk, żaden odgłos nie zamącał głębokiego spokoju tego skwarnego sierpniowego dnia, a termometr w cieniu wskazywał trzydzieści stopni nad zero. Śpiącymi podróżnymi byli nasi znajomi Temple Debenham i Arczybald Blyth, którzy czwartego dnia po opuszczeniu Londynu, znajdowali sie nad brzegami Wyei, na pół drogi pomiędzy Tintern i Monmouth.

Przyjechali koleją do Bristol, statkiem przebyli rzekę Sewernę i z Chepstow, gdzie posłuszni rozkazom książki służącej im za przewodnika obejrzeli wszystkie godne widzenia osobliwości, puścili się piechoto w dalszą drogę do Tintern. Tam przepędzili cały dzień i dwie nocy, rysując, łowiąc ryby, zwiedzając okolice i wbijając sobie w pamięć piękności starożytnego opactwa. Rano czwartego dnia, wyszli z Tintern, i nieprzyzwyczajeni jeszcze do chodzenia, znużeni do tego niezwykłym upałem, uczuli potrzebę odpoczynku.

Im dalej szli, tym droga zdawała się dłuższą a tłomoczki cięższemi. Nareszcie musieli uledz zmęczeniu i chociaż pozwolili sobie już pół godziny spoczynku przed drugiem śniadaniem, postanowili koło czwartej po południu zatrzymać się znowu i położyć się w pierwszem ocienionem miejscu jakie spotkają. Tutaj usnęli, ukołysani łagodnym szmerem rzeki, a raczej Arczy usnął, a Debenham zamknąwszy oczy, upajał się zapachem świeżej trawy, słuchał wody szemrzącej wśród trzciny, i pozwalał myślom bujać w krainie marzeń, gdzie je unosiła wyobraźnia.

Nareszcie otrząsnął się z marzenia, wyciągnął fajkę z kieszeni, nałożył ją, zapalił i oparłszy się na łokciu oddał się przyjemności palenia. Była to prawdziwa studencka fajka, jakie setkami widać po ulicach Bonn lub Heidelberga, z giętkim cybuchem i długą porcelanową lulką o metalowej przykrywce i łańcuszku i ozdobiona wizerunkiem nieodzownej niemieckiej *mädchen* wyglądającej z okna otoczonego winnemi liśćmi. Była to fajka stara, zniszczona, ukochana, długoletnia przyjaciółka. Darował mu ją kolega z Zollenstrasse, już bardzo dawno, kiedy kolega ów wyjeżdżał, żeby zostać profesorem muzyki przy jakiejś austryackiej szkole, i od tego czasu Temple wiernie ją zachował. Tylko ci co palą mogą poznać jaką przyjaciołką i powiernicą może się stać fajka. Tylko Debenham sam wiedział wielu dobrym postanowieniom, wielu szlachetnym popędom, wielu śpiewom melodyjnym dała początek ta fajka stara i okopcona. A teraz kiedy ją zapalił i kłęby dymu wypuszczał, spoglądając na błękitne niebo i zielone gałęzki drzew zawieszone ponad jego głową, i słuchając brzęczenia owadów w powietrzu, ogarnęło go jakieś przedziwne uczucie spokoju i wdzięczności. Wysilenia i przykrości, ubóstwo i niedostatek ostatnich ośmnastu miesięcy znikły jak sen przykry. Czuł się wolnym, wolnym od codziennej pracy u Ś-tej Hildegardy i od zwierzchnictwa wielebnego Tobiasza Choakes; od nieznośnych lekcyi na Finsbury Square, a szczególniej od wielkiego. o podwójnem działaniu fortepianu PP. Stumpf i Hammerfest. Blisko dwadzieścia mil i cała szerokość kanału Brystolskiego oddzielała go od Londynu. Świat stał przed nim otworem; mógł się zwrócić w tę stronę, w którą mu się podobało, pójść jak daleko chciał, zatrzymać się gdzie sobie życzył, spać wedle upodobania— i takiej złotej swobody miał przed sobą sześć tygodni! Prosił tylko o miesiąc, ale p. Choakes, w swej odpowiedzi, które nadeszła nazajutrz po wieczorze w Strathellan House, donosił panu Debenham, że kościół Ś-tej Hildegardy Męczenniczki miał być zamkniętym przez sześć tygodni dla odmalowania i poczynienia różnych reparacyi, i że p. Debenham może się oddalić na cały ten czas, jeżeli zechce. Tego samego dnia poczta przyniosła także weksel p. Hardwicke na dziesięć funtów, i tym sposobem niczego już nie brakowało, ani czasu, ani pieniędzy. Arczybald Blyth, pracujący w jednym z kantorów pana Hardwicke otrzymał równocześnie swój coroczny urlop i tak spotkaliśmy naszych młodych znajomych, z lekkim pakunkiem, wędkami, książkami do rysunku, czwartego dnia ich przejażdżki.

Debenham wypalił swoję fajkę z cichą rozkoszą i na nowo zaczął ją napełniać.

— Arczy, powiedział, Arczy, czy nie masz zamiaru obudzenia się dzisiaj?

Niewyraźne mruczenie było jedyną odpowiedzią Arczy.

— Bo jeżeli chcemy nocować w Monmouth, mamy przynajmniej milę a może i półtorej mili drogi przed sobą, i musimy sobie jeszcze ryb na kolacyą nałowić.

Za całą odpowiedź dało się słyszeć drugie mruczenie, wśród którego można było rozpoznać słowo:— kotlety.

— Kotlety! powtórzył organista z oburzeniem. Kto śmiał wymówić ten wyraz kotlety? Arczy, rumienię się za ciebie.

— To tak ciężko pracować na taki upał, perswadował Arczy, a kotlety są tanie.

— Nędznikiem jest ten, kto płaci za swoje jedzenie.

— Wczoraj w Tintern czekaliśmy godzinę i dwadzieścia minut, nim cokolwiek złapaliśmy.

— Ale jaka przyjemność, Arczy, jaka przyjemność.

— Co mi po takiej przyjemności, kiedy trzeba jej używać po całym dniu zmęczenia, kiedy człowiekowi gorąco i jeść mu się chce, powiedział Arczy ziewając.

— Nieczuły, niegodny, zniewieściały, leniwy wyrzutku społeczeństwa! zawołał Debenham miotając fajką nad głową przyjaciela.

Arczy powstał przecierając oczy.

— Nieba! zawołał. Jakże się energicznie wysławiasz. Cóż za majątek musiałeś wydać na twoje wychowanie.

Debenham roześmiał się.

— Co do tego, powiedział, majątek, jeżeli majątek i ja kiedy się zejdziemy, musi być owocem mojego wychowania, bo nigdy na nie nie był wydanym. Wątpię żeby wpisy moje szkolne kosztowały kiedy piętnaście funtów na rok.

— Piętnaście funtów na rok!

— Tak, a nawet nie tyle, kiedy zacząłem zasługiwać na nagrody i na wpisy szkolne. Przez ostatnie dwa lata, jakie przepędziłem w Zollenstrasse, zarabiałem już na życie; gdybym tam był został, byłbym teraz pierwszym profesorem, a może kapelmistrzem.

— Bo ty prawdziwie jesteś nadzwyczajnym człowiekiem, rzekł Arczy z rozwagą.

— Cieszy mnie to twoje zdanie o mnie.

— Tyle rzeczy umiesz. Mógłbyś zrobić wszystko, coby ci się podobało.

— Doprawdy? Bądźże łaskaw objaśnić twoje zdanie. Chcę zarobić tysiąc funtów na rok; będę ci bardzo wdzięcznym, jeżeli mi powiesz jak mam się wziąć do tego.

— Nigdy za pomocą muzyki, powiedział Arczy.

— Prawdę mówisz na nieszczęście.

— Ale muzyka nie jest jedynym twoim środkiem. Jak powiedziałem, umiesz tyle rzeczy.

— I to prawda, przyjacielu. Umiem jeść kwaśną kapustę, pić piwo bewarskie, przyprawiać ciastka z kartofli, przyszywać guziki, umiem nawet na wieczorze niemieckim nie ziewać więcej jak cztery razy na godzinę.

— Wiesz dobre Debenhamie, że nie o tem mowa.

— Wytłómacz się więc, nie zapominając, że mam zarabiać tysiąc funtów na rok.

— Nigdy tego nie będziesz zarabiał za pomocą muzyki, jak już mówiłem, ale nie wiem dlaczego przy twojem wykształceniu, nie miałbyś tego uczynić innym jakim sposobem, powiedział Arczy poważnie. Znasz naprzykład matematykę; umiesz także mówić pięcioma czy sześcioma językami?

— Zupełnie debrze, tylko dwoma, to jest po niemiecku i po francusku; rozumiem tylko po włosku i hiszańsku; co zaś do starożytnych języków, chociażbym miał całe życie temu poświęcić, nie zdołam nigdy być filologiem ani uczonym; jednak tyle umiem po łacinie i po grecku ile potrzeba zwykłym śmiertelnikom. Ale dlaczego się o to pytasz? Czy chcesz, żebym został korepetytorem w jakiej szkole, lub nauczycielem w domu jakiego lorda.

— Chciałbym, żebyś się wziął do handlu. Temple Debenham wyjął fajkę z ust.

— Do handlu! powtórzył. Trudnoby ci było wynaleść zawód, do którego byłbym mniej pod każdym względem uzdolnionym.

— Jakto?... dlaczego?

— Dlatego, że nienawidzę handlu; dlatego że mam nieszczęście, mieć wszystkie upodobania i uprzedzenia gentlemana; dlatego, że nie odebrałem wychowania usposabiającego mnie do handlu, dlatego.....

— Dlatego, jednem słowem, żc nic nie wiesz o handlu, powiedział Arczy żywo, że nie wiesz nawet co znaczy to słowo.

— Mój kochany, wiem doskonale co ono znaczy. Handel, to kapitał, a tego grosza jednego nie mam. Handel, to buchalterya pojedyńcza i podwójna, a jej tajemnice są dla mnie niezrozumiałe. Handel, to żelazo, ba-

wełna, skóry, indygo, mączka cukrowa. Czyż cokolwiek wiem i czy mam ochotę co wiedzieć o żelazie, bawełnie, skórach, indygo, i mączce cukrowej? Nie wiem do czego służy indygo? czy je kto kiedy kupuje; czy kto je mączkę cukrową.

— Gdybym tak umiał po niemiecku i po francusku, jak umiem po angielsku, i gdybym mógł przeczytać list po włosku albo po hiszpańsku i odpisać na niego, powiedział Arczy, miałbym teraz sześć set funtów na rok, zamiast dwustu. A gdybym był do tego prawdziwie zdolnym człowiekiem, i gdybym oprócz tego był dobrym matematykiem, znał języki klasyczne, i posiadał ten jasny i szeroki pogląd na rzeczy, jaki daje wszechstronne wykształcenie byłbym doprawdy nieocenionym człowiekiem, dla mego pryncypała. Człowiek zdolny ma równą wartość w handlu, jak w innych zawodach, jeżeli tylko pracy poświęci swoje zdolności.

— Jednem słowem, gdyby zaprządz Pegaza do pługa, lepiejby pracował od fornalskiego, konia. Stokrotne dzięki. Nie mam ochoty współzawodniczyć z fornalskim koniem.

— Również ciężko jak on pracujesz mój drogi Pegazie, rzekł Arczy.

— Może być.

— A praca twoja bynajmniej boskiego nie jest rodzaju.

Debenham milczał.

Wiejski chłopak zeszedł właśnie z drogi prowadząc do rzeki krowę, która patrzała na podróżnych wielkiemi spokojnemi oczyma i stanęła wśród trzciny tuż obok olszyny gdzie leżeli. Debenham spojrzał na zegarek i zobaczył, że była już blisko szósta. Wstali więc wolno, tłómoczki na plecy zarzucili i poszli dalej drogą ciągnącą się wzdłuż rzeki. Słońce, chociaż mniej dopiekało niż parę godzin wprzódy, oświecało jeszcze góry wznoszące się na lewo, a ślad każdego ich kroku zostawał na piaszczystej drodze. Krajobraz był milczący, zielony, jednostajny. Nie było tych skał urwistych tworzących przepaście, które widzieli dnia poprzedzającego, ale tylko, zaokrąglone pagórki, częścią lasem okryte, częścią uprawione; czasami zamek jaki wznosił się wśród wysokich drzew, lub szopa na łodzie wyglądała z pomiędzy trzciny. Taką okolicą ciągnącą się przez niewiedzieć wiele mil, młodzi nasi znajomi całe rano przechodzili, ale zmęczeni Londynem i pracą, znajdowali w niej wdzięk i nie wydawała im się jednostajną. Śród śmiechu i rozmowy każda chwila wesoło im upływała.

Ale teraz wesołość nagle ich opuściła. Debenham stał się zamyślonym i zasępionym; szedł w milczeniu z głową pochyloną, z oczami utkwionemi w ziemię; przykre myśli widocznie go zajmowały; parę razy otworzył usta jak gdyby chciał przemówić, ale się zawsze powstrzymał i pogrążał się na nowo w ponure milczenie; czasami tylko niecierpliwie przyspieszał kroku.

Arczy zaś, badając wszystkie te oznaki, nie starał się na nowo wszczynać rozmowy. Nagle, gdy tak uszli z pół mili, droga się zwróciła i wszystko nowe przybrało pozory. Rzeka szeroko przed nimi się roztaczała, ozłocona promieniami zachodzącego słońca; malownicza wioska leżała na samym brzegu; łódki kołysały się na wodzie, kobiety z dziećmi na rękach stały przed progiem swoich domów. Prom właśnie przybijał do brzegu, naładowany bydłem; kilku wieśniaków i przewoźników zebrało się w przystani, a wóz stał przed karczmą oczekując chwili przewozu. Karczma sama, okryta zielonością, z oknami odbijającemi promienie słoneczne, tak doskonale dopełniała krajobrazu, że zdawało się, iż ręka wprawnego malarza tam ją umieściła,

Nagłe to przejście z samotnej drogi do miejsca zamieszkałego, z ciszy do gwaru życia, tak było niespodziewane i miłe, że obydwa młodzi ludzie nie mogli się powstrzymać od okrzyku radości.

— Wnoszę, żebyśmy dzisiaj dalej nie szli, rzekł Arczy.

— Zgoda.

— Przegłosowane i jednomyślnie uchwalone!

— Bylebyśmy tylko znaleźli jakie pomieszczenie, dodał Debenham.

— Nie ma się o co obawiać, rzekł Arczy tonem pełnym zaufania. W takiem miejscu nikt się nie zatrzymuje; wszyscy podróżni dojeżdżają do Monmouth.

Debenham potrząsł głową i wskazał na drugi brzeg rzeki.

— Niekoniecznie, powiedział. Jakiś artysta już tam pracuje i zupełnie się osiedlił, namiot sobie nawet wystawił. Bądź pewien że mieszka w tej karczmie i jeszcze nie sam; malarze w tej porze roku całemi gromadami się ruszają; gdzie jest jeden tam więcej ich można znaleść. Nie dziwiłbym się gdyby wszystko było zajęte.

Wszystko jednak nie było zajęte. Gospodyni, pulchna i uśmiechnięta wyszła naprzeciwko nich; wprawdzie obydwa pokoje sypialne od frontu i jedyny salonik były zamieszkane, ale miała jeszcze dwa pokoiki, a kolacyą trzeba było zjeść w kuchni.

Podróżni na wszystko się zgodzili; nie obejrzeli nawet pokoi, ale zostawiwszy tłomoczki w karczmie i zadawszy parę pytań co do połowu ryb w tem miejscu, udali się według rady gospodyni trochę ponad przewóz, aby tam kolacyi poszukać. Nie upłynęło trzy kwadranse, a Debenham wyciągnął z wody tłustego pstrąga, z którym w tryumfie powrócili do karczmy. Oddawszy rybę do przyprawienia, sami się udali do swoich pokoi, prawdziwych gołębników, ale czystych jak klasztorne celki, pachnących lawendą i z oknami wychodzącemi na zagony kapusty.

ROZDZIAŁ IX.

Przed Karczmą.

Spożywszy swego pstrąga, doskonale przyprawionego i gorąco podanego, chociaż w kuchni, i na drewnianym półmisku i orzeźwiwszy się jabłecznikiem z glinianego kufla, podróżni wyszli przed dom chcąc fajkę wypalić o zmroku.

Wieczór był prześliczny. Niebo było jeszcze oświecone bladem odbiciem zachodu, ale cała dolina tonęła już w cieniach nocy. Najgłębsza cisza panowała dokoła. Czasami tylko usłyszano plusk fali odbijającej od brzegu, dalekie szczekanie psa, odgłos kroków, lub głosy zamieniające dobranoc, a czasami w oknie we wsi zabłysło światełko. W powietrzu panował ten spokój, w którym czuć jednak życie, w cieniach ta tajemniczość, nadająca nocy tyle uroku i poezyi.

Młodzi ludzie siedzieli pod wystawką i obydwa milczeli. Na prawo była kuchnia, służąca zarazem za szynk i gościnną izbę, na lewo salonik, oddany teraz zupełnie do rozporządzenia artyście, którego koczowisko widzieliśmy parę godzin temu z drugiej strony rzeki. Wioska nosiła nazwę Chillingford, dlatego że mały strumień, zwany Chilling, w tem miejscu łączy się z Wyeą.

Karczma zaś była znana pod mianem *Srebrnego Pstrąga*. Wszystkich tych szczegółów udzieliła im podczas kolacyi uprzejma gospodyni.

Siedzieli w milczeniu, poczęści przejęci spokojem i uroczystością wieczoru, poczęści przez uczucie delikatności, bo okno saloniku było na rozcież otwarte i cały pokój silnie był oświetlony. Firanka była jednak spuszczoną i głębokie milczenie w nim panowało. Nie było słychać nietylko rozmowy, ale nawet najlżejszego szmeru. Gdyby się był kto odezwał lub ruszył, chociażby najciszej, szmer stąd powstały musiałby dojść ich uszu, ale pomimo tego mieli przekonanie, że pokój nie był pustym. Półgodziny tak minęło, i Arczy nie mogąc już dłużej poskromić naturalnej swojej niespokojności, wstał i poszedł nad brzeg rzeki, gdzie przy świetle księżyca zaczął rzucać kamyki do wody.

W chwili gdy odchodził, ktoś się ruszył w salonie i głos niecierpliwy powiedział:

— Moje drogie dziecko, cóż tam robisz?

— Nic ojcze, siedziałam zupełnie spokojnie, odpowiedział drugi głos najłagodniejszy i najdźwięczniejszy, jaki kiedy słyszał Debenham.

— Cóż mnie więc obudziło?

— Kroki na dworze, zdaje mi się. Ktoś siedział przed domem paląc fajkę i właśnie odszedł.

— Paląc fajkę? Tak, czuję najniegodziwszy i najordynarniejszy tytuń. Pfe!

Debenham zgasił fajkę.

Męski głos odezwał się znowu:

— Jak długo spałem?

— Blisko trzy kwadranse.

— A ty czytałaś. Pokaż, co czytałaś?

— O obłokach, a ty ojcze drogi, tak prędko wśród nich zasnąłeś, że zamknęłam książkę przed końcem pierwszej stronicy. Okropnie było nudne, mało sama nie usnęłam.

— Nudne! Jak możesz tak mówić, kochanko. Ten autor nigdy nie jest nudnym.

— O tak, wiem, że to obraza majestatu, zaśmiał się młody głos, ale jakimże sposobem się dzieje, że *ktoś* zawsze usypia kiedy biorę do ręki jeden z tomów: *O nowożytnych malarzach.*

— Dlatego, moja najmilsza, że zawsze zaczynasz czytać po obiedzie. Czy już chowasz wino?

— Tak, bo dzwoniłam o herbatę; zresztą akurat tyle się zostało, ile potrzeba na jutro. Czy podnieść firankę?

— I napełnić pokój ćmami i komarami, obejdę się bez tego. Przyjemnieby byłoby mieć jakieś towarzystwo na wieczór, ale nie tego rodzaju. Cóż to za nudne miejsce!

W tej chwili Debenham, który wysunął głowę w nadziei ujrzenia okna odsłoniętego, usłyszał jak stół odsuwano i jak ktoś zaczął się przechadzać po pokoju.

— Spokojne jest, powiedział łagodny młody głos po krótkiem milczeniu, ale też bardzo piękne i nie nudzisz się ojcze drogi, kiedy pracujesz. Obok tego obraz twój bardzo postępuje.

Wcale nie jestem o tem przekonany; miałem wielką ochotę dziś po południu pokrajać go w kawałki.

— Coby powiedział Lord Wyelands?

— Mniejsza o to! Niecierpię obrazów obstalowanych; nigdy nie miałem żadnej przyjemności w ich malowaniu. Kacper Chrome był tego samego zdania: obraz który był już oceniony i kupiony zdawał się go paraliżować, jak powiadał. Jest to prawdziwe i trafne spostrzeżenie. Już nie należy on do ciebie; nie możesz go nawet wystawić bez pozwolenia właściciela żadne nadzieje ani obawy nie łączą się z nim; zamiast całej publiczności, jedenemu tylko człowiekowi trzeba się starać podobać. Żałuję żem się go podjął.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)